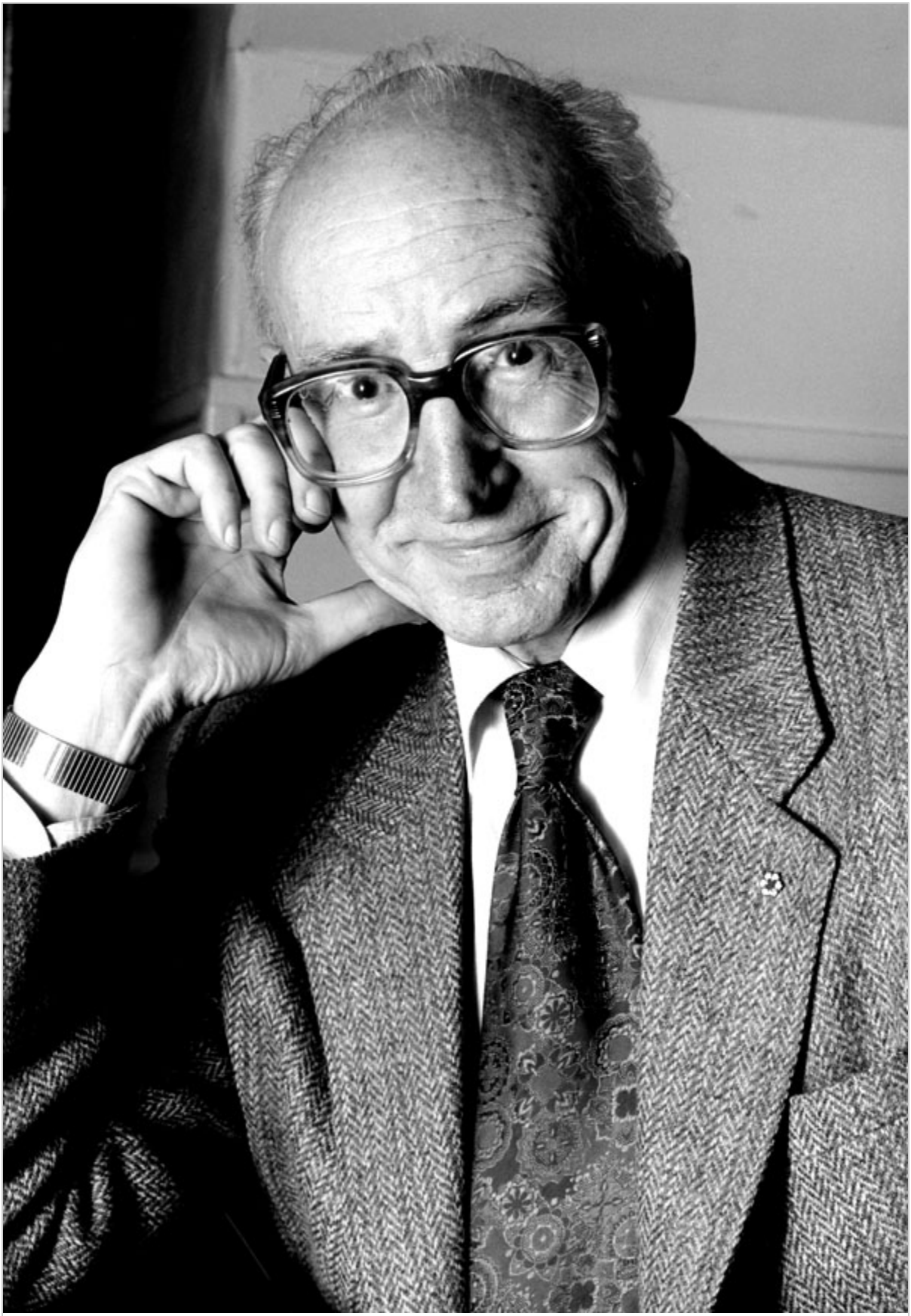
Louis Dudek – poeta montrealski (1918-2001).



Louis Dudek

Florian Śmieja

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, tórego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wcześnie zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacjonalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał "Pana Tadeusza", „Trylogię" i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego

idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskości cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet Mc Gill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów imał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go

w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem. że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

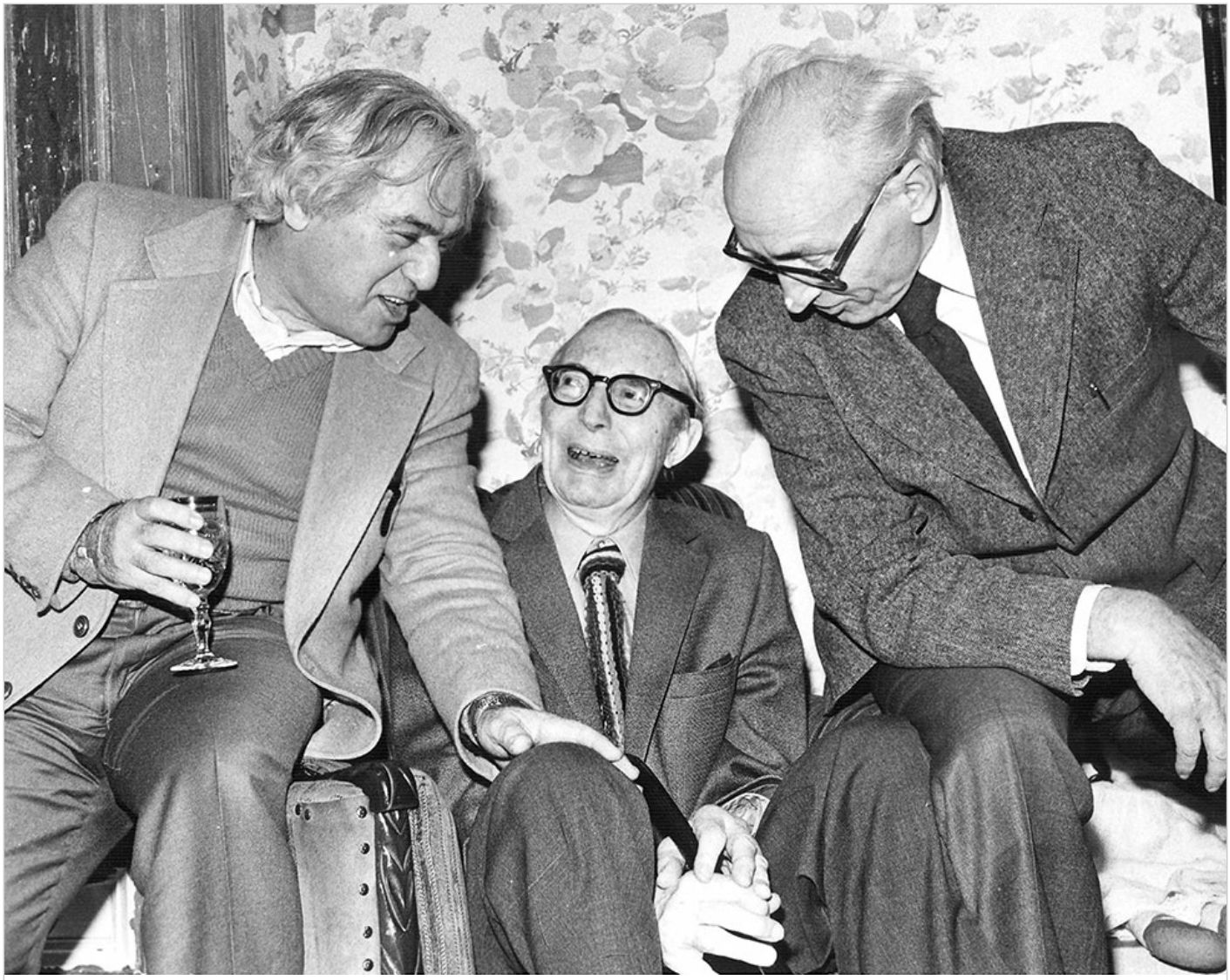
Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach,

ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem.

Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by

się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyla się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy

średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebeku Dudek był świadkiem niebywałej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebek udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum" wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsadzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współudziale sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb

życia.Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagraża nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City" poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe", „En Mexico", „Atlantis" i „Continuation"

Jego duży poemat „Europe", składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscom ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz.

Przezierają znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokręgu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, niestrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

Louis Dudek

Europa 31

Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;

amerykański błazen

rysował na dźwierzach

mówiąc” bla, bla” temu

prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.

Najpierw nie było nic, początki

były najtrudniejsze, potem, to co zrobili

było z tego co zaczęli.

Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych

obrobionych kamieni,

od Stonehenge do tego oto.

Wypisali swoje inicjały

obok umarłych. Nowi Anglicy

i Amerykanie błaźnią się na złotych dźwierzach.

Wewnątrz same kwiaty

i żłobkowane łodygi,

“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,

ja powiedziałem,

że to z kamienia”, takie splątane

stawy

z białej kości, i strasznej czarnej

średniowiecznej magii.

Ale nie ma nic

Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:

ostatnie rzeźby cmentarne

przy starszej, surowej, nornandzko gotyckiej

co nie starała się być piękna.

Tylko wierna.

Wierna czemu? Spójrz na moment

na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa

pokazujący jego ciało

poszarpane cierpieniem i śmiercią,

by ci powiedzieć

– nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg

nie jest szczególnie ważny,

pozostają kości, one są katedrą.

Lecz kilku turystów

nabazgrało nazwiska

na piersi Richarda Foxa

w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.

Niech te dodatki zostaną

w Winchester.

Może czas pokaże

że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta

należą tam mimo wszystko.

Nie miałyby kamienia

na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała im śmierć

swej kościstej piersi.

Dżungla

Czas ma swe kresy i swoje początki

koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-

przez które idzie tętno

bębnienia w ciszy dżungli,

gdzieś w drzewach krzyk

dzikiego ptaka dartego szponami

gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc

z bólu, może z rozkoszy,

a cisza nie ma końca, słuchając bębnów

dzień po dniu o nowym początku

dzień po dniu udręka, może przyjemność

ale ponad tym niezmącona biel nieba

czekająca nad światem, aż ustanie ruch

i wchłoną go fałdy jego morza

pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było

to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.

Epigramy

Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.

*

Dwa niewypały w komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.

*

Seks jest najtańszą formą twórczości.

*

Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią

kobiety.

*

Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobieglyby wielu małżeństwom.

*

Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.

*

Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.

*

Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.

*

Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.

*

Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.

*

Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.

*

Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciołach, życie byłoby nie do zniesienia.

*

Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.

*

Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.

*

Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.

*

Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.

*

Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.

*

Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie intelegentni, albo nie bardzo inteligentni.

*

Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.

*

Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.

Przełożył Florian Śmieja

Argentyna i Paragwaj



Ambasada Polska w Buenos Aires.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Polskie ślady w Argntynie i Paragwaju. Dziennik z lat 1990-91.

Na lotnisku Aeroparque w Buenos Aires czeka na mnie mąż kuzynki Izy, Gabriel Kellner. Zaprasza na kolację w restauracji, niedaleko lotniska. W życiu nie jadłem tak wspaniałego mięsa! To było *bife de chorizo*, nigdy nie zapomnę: soczysta, pyszna, doskonale miękka poducha. Jedziemy do dzielnicy San Isidro, gdzie w hotelu mam zarezerwowany pokoik. Jakoś nie najlepiej się czuję. Rano przemierzam dusznym autobusem chyba kilkanaście kilometrów do Ambasady Polskiej, przy ulicy Alejandro María de Aguado, w dzielnicy Palermo Chico. W rozmowie z ambasadorem Balewskim dostaję zgodę na spędzenie w pokoju gościnnym Ambasady jednego tygodnia. Konsulem jest ten sam pan, który był w roku 1977 sekretarzem Ambasady Polskiej w Meksyku. Teraz ma zmienione nazwisko (sic!), ale jest wciąż bardzo życzliwy i sympatyczny. Udziela mi bezcennych wskazówek na temat Polonii, polskich księży i rozmaitych osób, które okażą mi się użyteczne w moich podróżach. Przenoszę się z hotelu do Ambasady, zdaje się, tego samego dnia, czyli w poniedziałek, 12 listopada 1990 roku.

Buenos Aires. Pomnik Nieśmiertelnego Dziadka, Generała San Martina.

Pierwszy spacer po ogromnym Buenos Aires. Najbliżej jest plac Grand Bourg i Instytut bohatera narodowego, San Martína z jego pomnikiem, na którym wyobrażony jest jako dziadek rozmawiający z dwiema wnuczkami, *Gran Abuelo* (Wielki Dziadek). Dalej, przestronny plac i oto w tumanach kurzu pędzi cała sfora psów różnej rasy i maści, a trzyma je na smyczach jeden „wyprowadzacz”. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Po prawej, gigantyczny pomnik generała Carlosa Maríi de Alveara (1789-1852), otoczony wielkimi drzewami. To dzieło Antoine’a Bourdelle’a. Stąd już nie tak daleko do cmentarza Recoleta, za którym tętni aleja Santa Fé. Po lewej, wieża Anglików i dworzec Retiro, a prosto, Plac San Martína z ogromnym rozłożystym *ombú*.



Buenos Aires. Kościół Matki Boskiej z Kolumny (Pilar).

W ciągu tygodnia, jaki spędziłem w Buenos Aires, odwiedziłem Argentyńską Akademię Literatury (*Academia Argentina de Letras*) i akademię miejscowego żargonu miejskiego *lunfardo* (*Academia Porteña del Lunfardo*), gdzie poznałem osobicie jej sympatycznego sekretarza, José Gobello, z którym kontakt mam do dzisiaj, jako członek korespondent tej akademii na Polskę. Ponadto, spotkanie na Wydziale Filozofii i Filologii (*Facultad de Filosofía y Letras*), na ulicy 25 de Mayo 221, w dawnym hotelu "Palace Hotel", wówczas bardzo zaniedbanym. Na spotkaniu jest obecna wybitna lingwistka argentyńska Ana María Barrenechea

(1913-2010). Opowiadam o moich badaniach dialektalnych w Wenezueli.

W przeddzień mojego wyjazdu do Concepción del Uruguay, w niedzielę, 18 listopada, uczta zorganizowana na moją cześć przez ciotkę Zytę i moich kuzynów, Izę i Jurka. Dostali ode mnie sporo prezentów i postanowili mi się odwdzięczyć w ten sposób. Pojechaliśmy bardzo daleko za miasto, do restauracji specjalizującej się w pieczonym na ruszcie mięsie. Było to przy Szosie Panamerykańskiej, gdzieś niedaleko domu Jurka. Uczta była rzeczywiście wspaniała.

W poniedziałek, 19 listopada, wyjazd autobusem z dworca Retiro do miasta Concepción del Uruguay, 297 km. Mijam El Tigre, most Zárate i po czterech godzinach osiągam cel. Czeka na mnie Jorge Díaz Vélez. Oświadczył mi potem, że kogoś, kto śpiewa tanga tak jak ja, Argentyńczyk nie może zapomnieć, choć upłynęły 23 lata od naszego pożegnania w Maladze… To miłe z jego strony. Ulokował mnie w hotelu, a potem zaprosił do domu. Poznałem jego żonę i liczną rodzinę, także jego młodych współpracowników, dla których wygłosiłem pogadankę o moich badaniach dialektalnych. Byli to Fernanda Spada, Fabián Jesús Poerio i Betina Hercolini. To z nimi pojechałem do Pałacu San José, rezydencji gubernatora prowincji Entre Ríos, a także prezydenta Argentyny, Justo José de Urquiza (1801-1870), zamordowanego właśnie w tym pałacu położonym w obszernym

parku.

Jeden z synów Jorgego towarzyszył mi w spacerze nad rzekę Urugwaj, jedną z trzech (obok Parany i Paragwaju), które tworzą bezkresną La Platę.

Jorge Díaz Vélez należał do „bractwa”, którego jedną z zasad była wzajemna pomoc w różnych życiowych sytuacjach. Skierował mnie do miejscowości Eldorado w prowincji Misiones, gdzie mieszkała i pracowała w średniej szkole agrotechnicznej jego koleżanka z tego „bractwa”. Była to młoda i ładna osoba pochodzenia ukraińsko-włoskiego. I tak, bardzo odległe Eldorado (1200 km od Buenos Aires, a 900 od Concepción del Uruguay) stało się kolejnym punktem na mojej trasie. Zamieszkałem w internacie szkoły agrotechnicznej, w warunkach skrajnie skromnych, a pod względem sanitarnym i bezpieczeństwa pozostawiających wiele do życzenia. Łazienka była tak brudna, że musiałem ją sam szorować, a „sprzątaczka”, miejscowa Metyska, w czasie mojej nieobecności nie omieszkała zabrać z mojej walizki złote pióro, które sprezentowała mi w Madrycie na urodziny moja była żona (sic!). Posiłki w stołówce były niestrawne, zwłaszcza, że maleńkie muszki natychmiast wpadały do talerza. W czasie pierwszego obiadu towarzyszyli mi uczący w tej szkole Polak, Kazimierz Krzynówek i jego żona Paragwajka. Przynieśli biały obrus i serwetki, ale miało to miejsce tylko wtedy, jeden jedyny raz, „na dobry początek”…

Nocny ptak urutaú (Nyctibius griseus).

A teraz plusy. W Eldorado jest kilka rodzin polskiego pochodzenia. Bardzo przyjemne były nagrania moich rozmów z panią Teklą i z państwem Bieleckimi, a także rozmowa ze starszym Niemcem w przytułku dla osób starszych i chorych. Ten dystyngowany pan mówił bardzo poprawnie po polsku, jako że mieszkał jakiś czas w Polsce, a jego pierwszym pytaniem do mnie było: „W jakiej pan mieszka guberni?” Wieczorami dochodziły z pobliskiego lasu żałosne jęki nocnego ptaka, zwanego tutaj *urutaú* (*Nyctibius griseus*). Z Eldorado pojechałem na jeden dzień do państwa Lafere do pobliskiego Montecarlo, 24 km na południe. Okazali się kulturalni i gościnni. Mimo francuskiego nazwiska, oboje są Polakami.

W poniedziałek, 26 listopada, jadę z księdzem Bronisławem Trafasem do odległego San Ignacio Miní (141 km na południe), gdzie ruiny misji jezuickich z XVII-XVIII wieku. Zachowały się fragmenty murów, łuki, posągi i piękne barokowe płaskorzeźby, obszerne dziedzińce. Zanim zacznie się wieczorny spektakl „Światło i dźwięk” o historii powstania, egzystencji i zniszczenia tej misji (Jezuici zostali wypędzeni stąd w 1768), jedziemy do

zrekonstruowanego domu wybitnego pisarza urugwajskiego Horacio Quiroga (1878-1937). Znajduje się na wysokim brzegu Parany, na obszernym terenie porośniętym palmami. Widok wspaniały. Wieczorny spektakl wśród ruin misji jezuickiej wzruszający, choć efekty dźwiękowe nieco za głośne.

Wodospady rzeki Iguazú.

We wtorek, 27 listopada, z Kazimierzem Krzynówkiem do wodospadów Iguazú, 100 km na północ. Zabawiliśmy tam prawie cały dzień. Najpierw górna ścieżka, potem dolna i spotkanie z ostronosami rudymi. Na koniec pojechaliśmy do Diablej Gardzieli (*Garganta del Diablo*). Idzie się bardzo długim drewnianym pomostem nad rzeką Iguazú do miejsca, gdzie woda spada do ogromnej wyrwy. Na jej dnie widać tylko skłębioną parę wodną. Widoki wodospadów są nadzwyczaj piękne. Podziwialiśmy je najpierw od strony argentyńskiej, a na koniec z brzegu brazylijskiego. Woda spada z wysokości 80 m bardzo licznymi kaskadami. Jest ich 275 na przestrzeni prawie 3 km, a wszystko to w sercu misjoneńskiej dżungli, gdzie poza ostronosami widać często tukany i papugi. Oczywiście, kolorowe motyle. Upał nieziemski, wilgotność powietrza zawrotna. Na kolację pojechaliśmy do brazylijskiego miasta Foz do Iguaçu.

Na przełomie listopada i grudnia Kazimierz Krzynówek zawiózł mnie do Kolonii Wanda, do starszego brata, Jana Krzynówka. Tam spędziłem kilka bardzo przyjemnych dni. Osób polskiego pochodzenia jest w Wandzie znacznie więcej, niż w Eldorado. Niektóre nagrania były bardzo ciekawe. Któregoś dnia (a było to chyba w niedzielę, 2 grudnia) zaprosili mnie na obiad pan Krzyszycha i jego bardzo miła żona Angielka. Pan Krzyszycha podczas wojny był, jak wielu Polaków, w RAF-ie i tam poznał swoją przyszłą żonę. Opowiadali mi swoje przygody w Anglii. Zwiedziliśmy razem sklep z kamieniami półszlachetnymi przy kopalni tych minerałów w Wandzie, a pani Krzyszychowa kupiła mi na pamiątkę figurkę żółtego ptaka o czarnych skrzydłach. Stoi do dziś na moim telewizorze.

Przed domem Jana Krzynówka rosły drzewa, cały ich rząd. Było to ulubione miejsce kolibrów. Oblatywały je gromadnie. Wpadałem w zachwyt na ich widok. Kiedyś odwiedził mojego gospodarza pewien młody Paragwajczyk. Okazało się, że jest to zięć Niemca Bussa, który mieszka między Wandą a Puerto Esperanza. Nalegał, abym ich odwiedził i nazajutrz przyjechał po mnie furgonetką, by zawieźć mnie na obiad u państwa Bussów. Jedliśmy na obszernym tarasie, z cudownym widokiem na rozgrzaną puszczę misjoneńską, która ze wszech stron otaczała ten dom. Nie mogłem się napatrzeć. Był na tym obiedzie jeszcze jeden Niemiec z żoną. Zwróciłem uwagę jak dokładnie były objadane wszystkie kosteczki i odkładane z pietyzmem na

specjalny talerz. Starałem się naśladować biesiadników w tym względzie, ale im nie dorównałem.

5 grudnia znalazłem się w stolicy prowincji, Posadas i zatrzymałem się na dwa dni u pani dziekan Wydziału Humanistycznego miejscowego Uniwersytetu. Jej nazwisko: Ana María Camblong. Była to młoda i ładna osoba. Mieszkała z synem w eleganckiej willi. Umówiła mnie z Karolą Szychowską-Styczyńską, która 7 grudnia miała na mnie czekać w Apóstoles na przystanku autobusu z Posadas. Odległość z Posadas do Apóstoles wynosi 62 km. W istocie stał tam bardzo elegancki samochód, a w nim przemiła Karola. Nie zapomnę, jak upiorny zaduch panował wewnątrz. Migiem pokonaliśmy 13 km dzielące Apóstoles od La Cachuera, czyli dawnego majątku państwa Szychowskich. Teren wypielęgnowany, zadrzewiony, nad rzeczką tworzącą niewielką kaskadę (stąd nazwa La Cachuera). To właśnie tam stał kiedyś młyn do mielenia ryżu, zbudowany przez ojca Karoli. Duży biały dom, a w ogrodzie mały domek, gdzie zamieszkałem. Wyżej, dom, gdzie mieszkał wówczas przyjaciel męża Karoli, pochodzący z Mysłowic, Polak z żoną Urugwajką, a dalej cmentarz rodziny. Poznałem pana Dzidka Styczyńskiego (Karola mówiła o nim „Zidek”) oraz dwa wilczury wabiące się „Bajeczka” i „Malutka”.



Wzgórze Oliwne (Cerro Aceite) w Paragwaju.

Idealna cisza. Ulubionym miejscem moich spacerów była rzeczka i kaskada. Na nagrania jeździłem do Apóstoles, gdzie na głównej alei pomniki polskości: Matka Boska Częstochowska, polski wóz oraz argentyńskie naczynie do picia mate, Taras Szewczenko (ten pomnik wystawili miejscowi Ukraińcy)… Byłem także w

Azara, gdzie księdzem był wówczas Antoni Sołdyga. Jeden z braci Karoli był ważnym urzędnikiem państwowym i kiedyś wygłaszał bardzo barokowe przemówienie na otwarciu stadionu (?) w jakiejś małej miejscowości, chyba już w prowincji Corrientes. Nie zapomnę, jak bardzo się wówczas wynudziłem! Po polsku ten pan nie mówił.

17 grudnia zatrzymałem się w Posadas na krótko u kolegi Jorgego Díaza Véleza. Także należał do owego "bractwa". Stamtąd, pochodzący z Pyskowic ksiądz Kudlek zawiózł mnie do Colegio Fátima, w miejscowości Miguel Lanús, 8 km za Posadas, w kierunku Santa Ana. Jest to rodzaj pensjonatu dla księży werbistów. Był tam jeden Niemiec wyjątkowo niemiło do mnie nastawiony i to bez najmniejszego powodu! Taki jakiś „antypatyk"! Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, 19 grudnia, ksiądz Eugenio Basiński zabrał mnie do Campo Viera, do włości Miguela Antonia Skowrona, ale po drodze było Bonpland, Picada Polaca, Santa Ana i Loreto, gdzie ruiny misji jezuickich z XVII wieku, San Ignacio Miní, Gobernador Roca, Jardín América. Campo Viera jest niewielką miejscowością, w której dominują zabudowania młyna i wielkiej suszarni herbaty oraz willa ich właściciela, Miguela Antonia Skowrona. Zamieszkałem w małym oddzielnym domku dla gości, niedaleko basenu. Żona pana Skowrona jest pochodzenia serbskiego. Prawdziwa „baba Herod". Z dumą opowiada wszem i wobec, że jej się wszyscy boją. Syn David to miły chłopak, dobrze ułożony, w odróżnieniu

od mamy. Kiedyś chciał mnie koniecznie po polsku zawołać na obiad, ale nie był pewien i zapytał babci. Po czym rozległo się jego wołanie w moim kierunku: „Chodźta jeść!”



Akacja tropikalna (Delonix regia).

Dookoła zielone łany herbaty. Yerby mate tutaj mniej. Miguel Antonio Skowron jest dynamiczny, konkretny. Zrobił całą listę osób, z którymi powinienem przeprowadzić wywiady. Zapamiętałem jego matkę w Campo Grande i przystojnych panów Kapelińskich, niedaleko Campo Viera. Oczywiście, rozmawiałem przynajmniej z dziesięcioma osobami, których

nazwiska uleciały mi z pamięci. Na wigilię zaprasza mnie pan Adolf Dubil do Campo Grande. W ciągu dnia wycieczka do wodospadu *Salto Encantado* (Zaczarowany Wodospad), koło Aristóbulo del Valle. Oprócz państwa Dubilów, ich urodziwa córka z narzeczonym. Potok Cuñá Pirú w głębokim skalistym kanionie spada z wysokości 70 m wąskim jęzorem. Cień, przyjemnie, wokół sosnowy las. U stóp wodospadu naturalny basen, w którym pływamy. Po powrocie, wieczerza wigilijna pod gołym niebem. Je się tutaj wszystko. Pamiętam, że był kurczak i różne sałatki. Byliśmy w kościele na pasterce, ale kolęd polskich nie było i w ogóle wszystko odbyło się po hiszpańsku. Niestety, coś mi strasznie zaszkodziło. Pewno picie słodkiej oranżady… Biegunka upiorna! Muszę przyznać, że pan Dubil mówi wyśmienicie po polsku. Właściwie jest to jedyna osoba, której polszczyzna jest absolutnie nienaganna. Zawdzięcza to lekturom. Bardzo dużo czyta po polsku. W Boże Narodzenie próbuję się wyleczyć, a 26 grudnia wracam do Campo Viera, do państwa Skowronów.

27 grudnia odwiedzam w Oberá państwa Cieplińskich i zatrzymuję się tam na jedną noc. Pani Cieplińska jest włoskiego pochodzenia, ale mówi trochę po polsku, a córeczka pozuje mi na balkonie do zdjęcia ubrana w strój krakowski. Wieczorem nagranie u starszej pani, która z humorem opowiada mi o tamtejszych wężach i innych zwierzętach. Wraca z pracy jej wnuczka, która pyta mnie, czy ja też mówię „po kastyziu”.

„Kastyź” to przepiękna nazwa języka hiszpańskiego wśród tutejszych Polaków, a pochodzi stąd, że w Argentynie na język hiszpański mówi się *castellano* (wymawiane „kasteziano”).

29 grudnia państwo Skowronowie wiozą mnie do Gobernador Roca. Nocuję w hotelu w San Ignacio, a nazajutrz, nagrania w Gobernador Roca i po południu powrót do Colegio Fátima pod Posadas. 31 grudnia jestem zaproszony na wesele córki pana Kalafarskiego, wiceprzewodniczącego Związku Polaków w Posadas. Przyjęcie odbywa się w wielkiej sali siedziby Związku. Mnóstwo jedzenia, tańce. Przewija się najsłynniejsza melodia *„Ritmo de la noche*” (Rytm nocy). Po północy ktoś z gości weselnych odwozi mnie do Colegio Fátima, gdzie zostaję do 3 stycznia 1991. Podczas pobytu w Posadas poznaję malarza Zygmunta Kowalskiego i jego bardzo przystojną żonę.

3 stycznia rano wyjazd do miasta Corrientes, stolicy prowincji o tej samej nazwie. Mijam wielkie rozlewiska *Esteros del Iberá*, gdzie nenufary, biało-liliowe *camalotes (Eichhornia azurea)*, kajmany i kapibary. Po przebyciu tym razem stosunkowo krótkiego odcinka 354 km jestem w Corrientes, gdzie czeka na mnie prof. José Miguel Irigoyen (1912-1995), znawca języka guaraní, lingwista, przyjaciel Jorgego Díaza Véleza. Spędzę u niego sześć dni. Urokliwy jest plac 25 Maja oraz promenada nad Paraną. Trochę architektury kolonialnej i bardzo długi, nowoczesny most im. generała Belgrano na Paranie. Ale upał

wściekły, nawet późnym wieczorem wracam do domu zlany potem. José Miguel Irigoyen zna osobiście konsula Paragwaju, więc udziela mi skutecznego poparcia w konsulacie paragwajskim i wizę paragwajską dostaję bez trudu. Na dodatek, pan konsul podaje mi adresy i telefony osób, z którymi powinienem się skontaktować. Przed wyjazdem do Paragwaju wysyłam sporą część bagażu do Concepción del Uruguay, na adres Jorgego.

Stolica Paragwaju Asunción.

9 stycznia wyjazd do Paragwaju. Odległość 307 km, a więc bliżej, niż z Posadas do Corrientes. Przejazd przez most im. Generała Belgrano na Paranie i potem przez Chaco i Formosę. Moją bazą jest miasteczko Ñemby, 20 km od Asunción. Mieszkam u młodych kleryków polskich ze zgromadzenia Świętego Michała Archanioła. Ich przeor poznał na kursie francuskiego w Szwajcarii moje byłe studentki, jak się okazuje. Dojazdy, często zatłoczonym autobusem, są uciążliwe. W autobusie słyszę często rozmowy w języku guaraní. Asunción było bardzo ważnym miastem w okresie konkwisty i kolonizacji Ameryki. Stąd wyruszały wyprawy na podbój okolicznych terytoriów (Argentyna, Urugwaj, Boliwia). Mimo to, zabytków kolonialnych zachowało się niewiele. A dlaczego? Zagadka się wyjaśnia:

dyktator José Gaspar Rodríguez de Francia (1766-1840) wyburzył całe dawne centrum kolonialne i kazał wybudować nowe. Miasto leży nad zatoką rzeki Paragwaj, na wzniesieniach. W centrum, elegancki Pałac Lopezów (*Palacio de los López*) XIX, siedziba rządu. *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) jest niewielką parterową budowlą z drugiej połowy XVIII. Obecnie mieści się tam muzeum. Obok, Historyczna Uliczka, ze stylowymi latarniami. To tędy przeszli bojownicy o niepodległość tuż przed jej uzyskaniem. Obecna katedra została wzniesiona w 1845, na Placu Niepodległości. Dawny ratusz (*cabildo*), a obecnie Centrum Kulturalne Republiki, z arkadami w ścianie frontowej, to budynek z pierwszej połowy XIX. Klasycystyczny Panteon Bohaterów i jednocześnie oratorium patronki Paragwaju, Matki Boskiej Wniebowzięcia, z elegancką kopułą, ukończono w 1937. Teatr Miejski im. Ignacia Pane zbudowano pod koniec XIX.

Katedra w Asunción.

Najbardziej imponujący jest widok na rzekę Paragwaj, szeroko rozlaną u stóp Asunción. Samo miasto to jeden wielki bazar: mnóstwo sklepów koreańskich. Coraz więcej też wysokościowców. Z dala od centrum, Ogród Botaniczny i Zoologiczny, gdzie także muzeum historii naturalnej w dawnej rezydencji podmiejskiej Carlosa Antonia Lópeza, z 1840,

będącej typowym przykładem architektury paragwajskiej. Budynek jest długi, jednopiętrowy, arkadowy, z kolumnami na obu kondygnacjach. Prezentuje się bardzo elegancko. W ogrodzie botanicznym miejscowe drzewa *samuú (Chorisia speciosa*), czyli puchowce o bardzo kolczastym pniu, zaś w zoo, okazy miejscowej fauny: ostronosy, iguany zielone, dzikie świnie *taguá (Catagonus wagneri*), sowy uszatki (*Pseudoscops clamator*), strusie *ñandú (Rhea americana*).

W Asunción odwiedziłem Ministerstwo Oświaty, Spraw Zagranicznych, Ateneum Języka i Kultury Guarańskiej, siostry Augusta Roa Bastosa, redakcję dziennika *ABC,* gdzie zaproszono mnie na znakomity obiad i tuż po nim znany dziennikarz (inwalida na wózku) przeprowadził ze mną obszerny wywiad na temat mojego przekładu na polski książki Augusta Roa Bastosa *Syn człowieczy*. Siostry pisarza przyjęły mnie niezwykle serdecznie. Odwiedziłem je parokrotnie i czułem się tam, jak u siebie w domu.

W piątek, 11 stycznia, młody polski kleryk, znajomy moich michaelitów, zabiera mnie do siebie, do miejscowości Natalicio Talavera, w departamencie Guairá, 180 km od Asunción. Mijamy po drodze słynne, opiewane w piosenkach jezioro Ipacaraí, dalej, Caacupé z cudowną Matką Boską. Tego samego dnia jadę do stolicy departamentu, Villarrica. Tam ciekawy i oryginalny kościół Matki Boskiej Wniebowzięcia w dzielnicy Ybaroty. Z

czerwonej cegły, pseudogotycki, 1957. Okazała katedra Świętego Ducha, koniec XIX. Stacja kolejowa, parterowe Muzeum Miejskie Mistrza Fermína Lópeza, z kolumnami wspierającymi arkady, także z końca XIX. Dawny Uniwersytet Katolicki, w tym samym stylu paragwajskim, co wymienione muzeum, z 1900. Ciekawe są mini dwukółki z daszkiem. To rodzaj konnych taksówek, zwanych *carumbes.*

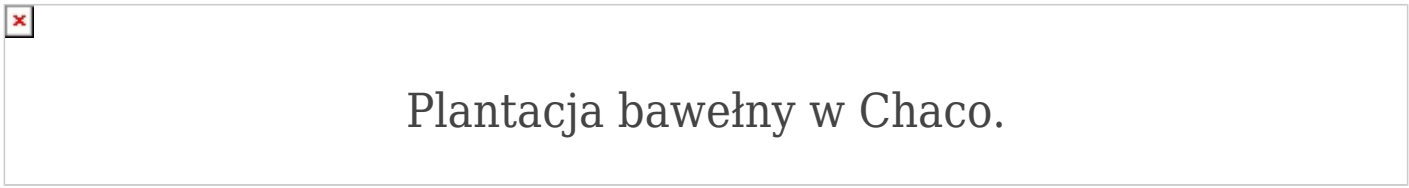


Paragwajski taniec galopera.

Po południu, a właściwie już pod wieczór, wsiadam do autobusu jadącego do Itapé, 17 km stąd. Toczy się z wolna po piaszczystej drodze jeszcze z epoki kolonialnej (tak zwane *camino real*). Takich dróg w Paragwaju jest jeszcze bardzo wiele. Ale krajobrazy! Wzgórza, palmy, kępy bambusów nad strumieniami, skłębiona roślinność. To tu rozgrywa się akcja *Syna człowieczego.* Wchłaniam w siebie całą tę scenerię, pożeram ją. Droga prowadzi prosto, bez zakrętów i tylko wznosi się i opada na zmianę, jak w kolejce górskiej. Wewnątrz autobusu mnóstwo ludzi z tobołkami, zakupami. W Itapé, nad rzeką Tebicuary Mí, kaplica z kopią Cudownej Matki Boskiej z Caacupé, zwaną tutaj Matką Boską Pielgrzymującą lub Matką Boską znad Brodu. Dalej, bardzo stylowy kościół Świętego Izydora Rolnika, wyglądający na stary, ale pewno, jak prawie wszystko w Paragwaju, pochodzi z XIX. Nigdzie nie mogę znaleźć o nim żadnej informacji. Nocuję u księdza Nelsona Severiana Vegi. Mieszka z matką staruszką. Oboje bardzo mili i gościnni.

12 stycznia rano biegnę jeszcze nad rzekę Tebicuary Mí, a potem podróż do Iturbe (około 40 km na południe), gdzie Roa Bastos spędził dzieciństwo i młodość. Cukrownia, w której pracował jego ojciec, most na rzece Tebicuary Mí. Powrót do Villarrica (35 km), skąd do Natalicio Talavera (24 km). Nocuję na tarasie pod moskitierą (z przygodami, bo moskitiera spada na mnie w pewnym momencie). Nazajutrz stopem do Ciudad del Este, około 150 km. Samochód prowadzi młody sympatyczny człowiek, obok

niego matka. Częstują mnie *tereré* (zimną mate). Jadą na jakieś wesele. Gdy im mówię, że będę musiał przenocować w Hernandarias, kierowca oświadcza, że jego siostra, właścicielka apteki tamże, bez problemu przygarnie mnie na noc. Wyjaśnia mi, gdzie to jest i zaznacza, bym przyszedł po zmroku, bo wcześniej nie będzie nikogo. Dziękuję.



Plantacja bawełny w Chaco.

Uciekam czym prędzej z nieciekawego i hałaśliwego Ciudad del Este. Byle prędzej do wodospadu na rzece Monday. Upał. Po wodospadach Iguazú nie robi już na mnie takiego wrażenia, ale jednak. Wodospad ma 120 m szerokości i spada trzema odnogami z wysokości około 40 m, a niżej tworzy kolejny próg, znacznie niższy. To tu Natividad i Cristóbal, bohaterowie Roa Bastosa, piją chciwie wodę, po długiej i wyczerpującej ucieczce z plantacji yerba mate w Tacurú Pucú. Woda jednak nie zachęca do kąpieli: jest mętna, koloru kawy z mlekiem.

W Hernandarias zjawiam się jeszcze przed zachodem słońca. Bez trudu zlokalizowałem aptekę i dom tuż koło niej. W pobliskim barze zamawiam coca-colę, potem drugą i wówczas właścicielka pyta mnie, czy jestem pisarzem. Odpowiadam: „No tak, można tak powiedzieć”. Wtedy ona biegnie na zaplecze i przynosi mi

egzemplarz ostatniego *ABC*, gdzie moje wielkie zdjęcie i artykuł z tytułem: „Tłumacz zafascynowany oryginałem” i cały wywiad ze mną. Dzieci właścicieli wydzierają mi prawie gazetę, spoglądają to na zdjęcie to na mnie, wyraźnie poruszone. Gdy się ściemniło, proszę jednego z chłopców, by poszedł do owego domu przy aptece i zapytał, czy już mogę przyjść. Wraca skonfundowany i wyjaśnia, że właścicielka domu oświadczyła mu, że nie zna żadnego Polaka i że w ogóle nic o nim nie chce wiedzieć. Nie daję za wygraną i idę tam z tym chłopcem. Na podwórku bawią się dwie dziewczynki, które proszę, by zawołały mamę. Dziewczynki wbiegły do domu i po chwili zgasły wszystkie światła, kurtyna opadła, koniec spektaklu!

Właściciele już zamykają bar, mają wracać do domu samochodem i chcą mnie zabrać do siebie, ale jakoś nie mogę skorzystać z tego zaproszenia. Jedziemy do klasztoru żeńskiego. Przeorysza nie chce o tym słyszeć. „Nieznajomy człowiek i to w żeńskim klasztorze, wykluczone”. Dopiero na plebanii innego kościoła ksiądz od razu zgodził się i zaprowadził mnie do pokoiku w budynku kościoła. Na moje pytanie, gdzie mógłbym powiesić wypraną bieliznę, bez wahania odrzekł, że najlepiej na krzesłach na ołtarzu, gdyż nad ołtarzem są dwa duże wiatraki i tam wyschnie najszybciej. W środku nocy obudziłem się straszliwie pokąsany przez komary i nie zastanawiając się zbytnio, chwyciłem materac i poszedłem z nim na ołtarz. Dopiero tam, pod wiatrakami, mogłem spać spokojnie. Na ołtarzu (sic!).

W poniedziałek, 14 stycznia, poszedłem do ratusza z prośbą, by mnie zawieźli na teren wielkich plantacji yerby mate w Tacurú-Pucú. Niestety, odmówili, dodając, że Roa Bastos to wszystko zmyślił, że to nieprawda, co napisał, etc. Pojechałem więc do ogromnej elektrowni wodnej Itaipú. Jest to przedsiębiorstwo dwunarodowe, paragwajsko-brazylijskie. Prace przy budowie olbrzymiej zapory wodnej na Paranie zaczęły się w latach 80 i trwały do końca lat 90. To największa tego typu inwestycja na świecie. Powrót do Natalicio Talavera via San Pedro, gdzie ciekawy kościół franciszkański Świętego Piotra z epoki Lopezów (wiek XIX).

Nazajutrz stacja kolejowa w Villarrica, XIX i powrót do Ñemby. W czwartek, 17 stycznia, spotykam się z wybitnym malarzem Carlosem Colombino, przyjacielem Roa Bastosa, w tak zwanym Muzeum Gliny (*Museo del Barro*). Carlos Colombino był jednym z założycieli tego wspaniałego muzeum w 1979. Nadzwyczajnej piękności maski drewniane, indiańskie figurki gliniane, obrazy w najlepszym guście. Piękne!

Ruiny misji jezuickiej w San Ignacio.

W piątek, 18 stycznia, podróż do ruin misji jezuickich w Trinidad, na samym południu, blisko Parany, w prowincji Itapúa. Tuż przy wejściu zaatakowały mnie – dosłownie, jak w filmie Hitchcocka! – jakieś czarne ptaszyska, podobne do kruków. Z trudem się opędziłem. Ale ruiny niesłychanie ciekawe. Zostało tu chyba jeszcze więcej ciekawych ozdób, rzeźb i płaskorzeźb, kolumn, łuków i pięknych portali, niż w San Ignacio Miní w Misiones. Ocalał posąg Świętego Pawła w niszy, cała kolumnada. Stąd już niedaleko do stolicy prowincji, Encarnación nad Paraną. Po drugiej stronie rzeki, Posadas, stolica Misiones i widok na Posadas jest w Encarnación najciekawszy. Poza tym, miasto jest nowe. Katedra chyba wręcz dwudziestowieczna, w stylu neoromańskim. Wracam nocą do Ñemby.

Nazajutrz pani profesor Ela Salazar zaprasza do siebie, gdzie na dziedzińcu stół z białymi kwiatami (kameliami?) w wazonie, a po obu stronach ustawione w krąg krzesła, na których siadają zaproszeni przez nią profesorowie, a ja – ku mojemu zdumieniu – mam zasiąść za tym stołem z kwiatami. Jest wśród profesorów poeta, który wręcza mi nagranie ze swoimi wierszami, a mnie proszą o wypowiedź na temat mojej pracy i organizacji studiów iberystycznych w Polsce. Dość sztywno. Kto to powiedział, że w Ameryce Łacińskiej jest taki luz i spontaniczność?

Wykonany przez Indian Guaraní portal kościoła w Yaguarón (Paragwaj).

W niedzielę, 20 stycznia, rano kupuję w Asunción magnetofon, taśmy i koszulę z *aó-poí* (cienkiej białej tkaniny z haftem). W Yaguarón, 48 km od Asunción, najwspanialszy kościół franciszkański w Paragwaju pod wezwaniem Świętego Bonawentury, XVIII, z rzeźbami wykonanymi przez Indian Guaraní. Na drewnianym suficie cenne malowidła (kwiaty, rozety). Budynek jest bardzo charakterystyczny dla miejscowej architektury: niski, „rozłożysty", kryty wielkim dachem, który nakrywa zewnętrzne kolumnady. W pobliskim Paraguarí, podobny, choć nieco mniejszy kościół Świętego Tomasza Apostoła, XVIII. Tu szeroka fasada jest ozdobiona dwiema niewysokimi wieżami i nie ma kolumnady po obu stronach, jak w Yaguarón. Nad miasteczkiem wzgórze 180 m wysokości. Wieczorem docieram do Sapucái. Rozmawiam ze starszymi mieszkańcami i nikt nic nie wie na temat eksplozji wagonu wyładowanego bronią na stacji w latach 30 (o czym pisał Roa Bastos). Jeszcze jeden rys bardzo „realistycznej" fikcji pisarza.

W poniedziałek, 21 stycznia, powrót do Argentyny. Odcinek Asunción – Resistencia wynosi 295 km. Resistencia leży nad rzeką Negro, 7km od jej ujścia do Parany. Jest miastem nowym, o

niskiej zabudowie. Dookoła płaskie tereny równiny Chaco. Palmy *yatay* (*Butia yatay*). Młody ksiądz Daniel Skorupa okazuje się bardzo sympatyczny. Nazajutrz organizuje mi podróż do Villa Ángela. Stamtąd jedziemy do miejscowości Coronel du Graty. Razem 275 km. Coronel du Graty jest centrum uprawy bawełny na rozległych równinach. Nagrywam rozmowy z panią Górniakową i panem Władysławem Herbutem, bardzo ciekawe. Nocleg w Villa Ángela u miejscowego księdza Polaka. Uznał za stosowne z góry potraktować mnie za zwolennika systemu komunistycznego i za kogoś, kto na pewno był w Moskwie. Tak się złożyło, że w istocie byłem w Moskwie na wycieczce w 1980. W każdym razie zachował się fatalnie. Ksiądz Skorupa był oburzony, gdy mu o tym powiedziałem. Kolejny nocleg w Resistencia i w czwartek, 24 stycznia, wyjazd do Santa Fé, 534 km.

Tylko przejechałem przez miasto Santa Fé, gdzie przesiadłem się na autobus do leżącego po przeciwnej stronie Parany miasta Paraná. Pamiętam ogromny tunel pod rzeką, zbudowany przez Niemców w 1969. Ma prawie 3 km długości i znajduje się 32 m pod powierzchnią wody w Paranie. Odległość z Santa Fé do Paraná wynosi 30 km. Skontaktowałem się z lingwistką o nazwisku Claudia Greca i zamieszkałem w hotelu. Katedra w stylu eklektycznym jest z 1883, a ratusz z 1890. Z XIX wieku jest także kościół Świętego Michała. W najstarszej części miasta sporo parterowych dziewiętnastowiecznych domków. W piątek,

25 stycznia, byłem z Claudią u profesora Antonia Rubéna Turi, poety i lingwisty (1917-1992). Trochę spacerowaliśmy po mieście i nad Paraną i po południu odjechałem do Concepción del Uruguay, 268 km. Jorgego nie zastałem, był w La Plata. Była tylko jego żona. Nie pamiętam już, gdzie nocowałem, w każdym razie spotkałem się z Betiną Hercolini, która najprawdopodobniej załatwiła mi gdzieś nocleg.

W sobotę, 26 stycznia, zabieram cały mój bagaż i wyjeżdżam do Buenos Aires. Na dworcu autobusowym Retiro czekają Iza i Gabriel i wiozą mnie, oczywiście, do polskiej ambasady, gdzie dowiaduję się, że pokój gościnny zajęty. Chcąc nie chcąc zabierają mnie do siebie do Olivos. Śpię w pokoju ich córeczki, a ona z nimi. W niedzielę jadą gdzieś do znajomych, a mnie zostawiają, abym spokojnie mógł telefonować i załatwić sobie locum. Spotkałem się gdzieś w mieście z panami Borkowskim i Grabią-Jałbrzykowskim, którzy wiozą mnie aż do Burzaco, jak się okazuje. Jechaliśmy tam bardzo długo i to cały czas przez miasto. Pokonaliśmy chyba z 40 km. W Burzaco jest ośrodek sportowy dla młodych Polaków. Drewniane baraki, piętrowe łóżka… Ale cóż, zgodziłem się tam przenieść. Szybki dojazd kolejką podmiejską do centrum Buenos Aires jest jedynym plusem… Mimo wszystko, po powrocie do kuzynki zatelefonowałem jeszcze do pana Stachury, a ten na to: „Najlepiej niech pan zatelefonuje do Frania S. Pewno się zgodzi”. I tak było. Nazajutrz, w poniedziałek, 28 stycznia, zabrałem ze

sobą najpotrzebniejsze rzeczy, a dużą walizkę zostawiłem u Izy i pojechałem do pana Frania.



Salta. Klasztor św. Bernarda.

Mieszka w centrum, na ulicy Sarmiento, stosunkowo blisko Obelisku. Miejsce znakomite, a i atmosfera bardzo przyjemna. Jest weteranem drugiej wojny, walczył pod Monte Cassino. Po południu załatwiłem bilety lotnicze na odcinki Córdoba-Tucumán, Jujuy-Buenos Aires, Buenos Aires-Ushuaia i Ushuaia-Buenos Aires. We wtorek, 29 stycznia, wyjazd nocnym autobusem do Córdoby, drugiego największego miasta Argentyny. Odległość niebagatelna – 770 km. Zatrzymuję się u księdza Stanisława Małysy.

Nie pamiętam już, kto polecił mi kontakt z Alicią Malanca de Rodríguez Rojas, lingwistką i literatką, córką znanego malarza post-impresjonistycznego, José Américo Malanca (1897-1967). Może właśnie ksiądz Małysa? Ten kontakt okazał się niezwykle pożyteczny. Alicia nie tylko zlokalizowała moje koleżanki z kursu w Madrycie w 1968, Gladys Gatti i Yolandę Dethou, ale poleciła mi skontaktować się w Tucumán z Davidem Lagmanovichem, w Salta, z Juaną del Valle Rodas López (ona też była na kursie w Madrycie) i w Jujuy, ze swoją znajomą, lingwistką, której nazwiska nie mogę nigdzie odszukać, niestety! I nie było to wyłącznie polecenie, bo Alicia była tak miła, że zatelefonowała do tych osób i wszystko z nimi uzgodniła. Ksiądz Małysa z kolei poprosił swoją znajomą, Polkę (bardzo miłą panią), aby zechciała mi towarzyszyć podczas jednego ze spacerów po mieście.

Córdoba. Klasztor św. Teresy.

Córdoba wydała mi się fascynującym miastem, jedynym, gdzie pozostało tyle pamiątek po okresie kolonialnym. A więc szesnastowieczna katedra z 1577, przysadzista, z dwiema potężnymi dzwonnicami po bokach fasady i najwyższą wieżą nad prezbiterium, stary ratusz (*cabildo*), XVIII, długi biały jednopiętrowy budynek, z arkadami i balkonem, ozdobiony na samej górze stylowymi wazami. Obecnie, muzeum archeologiczne. Najbardziej spodobał mi się klasztor Świętej Teresy, XVII-XVIII, z pięknym dziedzińcem. Dawny rektorat, XVII, stylowy budynek kolonialny, siedziba najstarszego w Argentynie i czwartego w Ameryce uniwersytetu założonego przez Jezuitów, z piękną Aulą Magną. Ciekawe są też inne kościoły, Świętej Katarzyny, jezuicki Towarzystwa Jezusowego. Wyjątkowo oryginalnie wygląda Dom Markiza de Sobremonte z XVIII. Bardzo elegancką konstrukcją jest wzniesiony w stylu francuskim dawny Pałac Ferreira z początku XX, obecnie siedziba Muzeum Sztuk Pięknych.

Tucumán. Dom Niepodległości.

W towarzystwie Gladys Gatti wybrałem się też do Alta Gracia (36 km na południowy zachód od Córdoby), gdzie zwiedziliśmy dom

Manuela de Falli (1876-1946). Kompozytor spędził tu na wygnaniu ostatnie lata życia, od momentu wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, aż do śmierci. Jest to ładna willa w stylu tyrolskim, o częściowo szachulcowej konstrukcji, z zielonymi okiennicami. W Alta Gracia jest też duży kompleks jezuicki z klasztorem i kościołem o wyniosłej wieży. Zdaje mi się, że nie zdążyliśmy go zwiedzić. Szkoda!

Jak na pięć dni spędzonych w Córdobie, wykorzystałem czas do maksimum. Pojechałem jeszcze na północ do La Granja (53 km od Córdoby), gdzie u stóp gór zwanych *Sierra de Córdoba* odbywają się kolonie letnie dla dzieci tutejszych Polaków. Zastałem tam panią Bielesiową, która przeprowadziła ze mną wywiad opublikowany później w *Głosie Polskim* w Buenos Aires.

Na koniec, Yolanda Dethou zaprosiła Alicię Malankę, Gladys Gatti i mnie na bardzo miłą kolację u siebie w domu. Było bardzo serdecznie.

W niedzielę, 3 lutego, odleciałem do Tucumán, 530 km. Na lotnisku czekał pisarz i lingwista David Lagmanovich (1927-2010). Spędziłem u niego jedną noc. Nazajutrz oglądałem to piąte pod względem wielkości miasto Argentyny (po Buenos Aires, Córdobie, Rosario i Mendozie). Jedynym domem kolonialnym jest *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) XVII, niski, parterowy, z salomonowymi kolumnami przy wejściu

i trzema dziedzińcami wewnątrz. To tu 9 lipca 1816 Kongres Tukumański ogłosił niepodległość zjednoczonych prowincji La Platy. Podobno katedra była zbudowana w XVI, ale jej obecny wygląd pochodzi z roku 1856 i wykazuje cechy architektury włoskiej owego czasu. Bazylika Świętego Franciszka jest z końca XIX, a bazylika Matki Boskiej Łaskawej została wzniesiona w połowie XX wieku w stylu neokolonialnym. Na wspaniale zadrzewionym Placu Niepodległości rzeźba przedstawiająca wolność. Jej autorką jest Lola Mora (1866-1936), która urodziła się właśnie w prowincji Tucumán. Bardzo elegancki jest dom zarządu prowincji (*Casa de Gobierno*), 1910, w wykwintnym stylu francuskim.

Tego samego dnia (poniedziałek, 4 lutego) po południu David odprowadza mnie na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżam do Salty, 260 km. Po drodze piękne krajobrazy w Tafí del Valle i w Quebrada de Cafayate: czerwone skały, doliny, winnice. W Salta czeka na mnie Juana del Valle Rodas López, znajoma sprzed… 23 lat, z kursu lingwistyki w Madrycie. Pamiętam, że w Madrycie udzielałem jej lekcji francuskiego. Strasznie pocięły mnie u niej komary w nocy.

Salta leży na wysokości 1187 m, w dolinie rzeki Lerma. Znana jest ze swoich zabytków neokolonialnych, z których najważniejszym jest ratusz (*cabildo*). Oryginalny budynek pochodzi z końca XVIII, ale w 1945 był gruntownie

restaurowany. Jest podłużny, dwukondygnacyjny, z arkadami na obu kondygnacjach, z balkonem i wieżą pośrodku. Obecnie mieszczą sie tam 2 muzea. Na parterze, Muzeum Historyczne, a na piętrze, Muzeum Kolonialne i Sztuk Pięknych. Katedra i klasztor Świętego Franciszka w stylu neoklasycznym są z XIX. Elegancką budowlą neokolonialną jest też Teatr Victoria. Nad miastem wzgórze Świętego Bernarda, 200 m wysokości, skąd obszerny widok na całe miasto i okoliczne góry. Miasto jest przyjemne, dość atrakcyjne. W okresie kolonialnym pełniło rolę łącznika między Limą a Buenos Aires.

Pod wieczór we wtorek, 5 lutego, wyjazd autobusem do Jujuy, 97 km. Jechał wolno i bardzo się spóźnił. Miałem wyrzuty sumienia wobec czekających na mnie państwa, przemiłych zresztą ludzi. Wieczorem niewiele było czasu, ale, zdaje się, miałem chwilę, by zajrzeć do neoklasycznej katedry z XVIII, z barokową amboną z XVII. Najstarszym zabytkiem jest tu kaplica Świętej Barbary z 1777, z drewnianym, malowanym sufitem. Kościół Swiętego Franciszka jest z początku XX, ale ambonę ma z XVIII.



Humahuaca (prowincja Jujuy).

W środę, 6 lutego, bardzo wcześnie pobudka. Jedziemy daleko na północ, aż do doliny Humahuaca, 126 km. Pierwszą atrakcją jest Purmamarca i Góra Siedmiu Kolorów: skały mają długie poprzeczne warstwy w różnych kolorach, od ochry, przez brąz i czerwień do zieleni i błękitu. Kolejny postój to Tilcara, gdzie inkaska forteca z kamieni, a wokół, morze kaktusów na stokach górskich. I tu zbocza mają piękny ciemnoczerwony kolor. Wreszcie Humahuaca, gdzie pomnik bohaterów walk o niepodległość, wśród nich Indianie. Obiad przy akompaniamencie indiańskiej kapeli ludowej w bardzo miłej atmosferze. W pobliżu niewielki kościółek.



Purmamarca (prowincja Jujuy).

Po południu powrót samolotem do Buenos Aires (1654 km), gdzie nazajutrz zwiedzam Muzeum Historyczne. Bardzo bogate zbiory.

W sobotę, 9 lutego, odlot do Ushuaia na Ziemi Ognistej, 3496 km. Przesiadka na inny samolot w Río Gallegos, jeszcze w Patagonii. Ziąb niebywały. W Ushuaia nocuję u miejscowego księdza. Zapisuję się na niedzielną wycieczkę na trasie Almanza – Wyspa Pingwinów – Hacjenda Harberton.



Ushuaia, Wyspa Pingwinów.

Do Almanza dowożą nas autobusem, a tam wsiadamy na katamaran. Płyniemy bardzo długo. Jest pochmurno i zimno. Często pada deszcz. Szczyty gór w chmurach. Co jakiś czas lwy morskie, kormorany i wreszcie wyspa pingwinów (*Isla Martillo*). Pasażerowie na statku wpadają w szał. W podnieceniu strzelają zdjęcia jedno za drugim. Okazuje się, że odległość między Ushuaia a Hacjendą Harberton wynosi… 85 km. Po powrocie do Ushuaia jeszcze wizyta u pana Zapruckiego, który tam mieszka z żoną Chilijką. O godzinie 23-ej wychodzę od niego i jest całkiem widno!

W poniedziałek, 11 lutego, rano, powrót do Buenos Aires. Nazajutrz pan Lichota z Ambasady Polskiej wiezie mnie na lotnisko Ezeiza i odlatuję do Madrytu. Pobyt w Argentynie i w Paragwaju trwał trzy miesiące. Przemierzyłem tysiące kilometrów, zwiedziłem najróżniejsze regiony. Jestem zadowolony.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-iii/

Baśniowy Gałczyński

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto fragment książki.



„Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny”. Od lewej: Maria Nowotarska, Stan Borys, Karolina Ingleton, Krzysztof Jasiński, Agata Pilitowska, arch. PUNKT.CA, fot.: Yarek

Dąbrowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

26.10.98.

Mario Droga,

A więc klamka zapadła: mam wizę i bilet od Ciebie i będę 6 grudnia. Wylatuję z Warszawy o 12.30. Gdzieś przed 20.00 polskiego czasu będę w Twoim mieście. Nie wiem, jak sobie wyobrażasz cały ten poetycki spektakl. Żeby Ci trochę pomóc, przesyłam Ci swoją pierwszą książkę o ojcu – jest krótsza, nie zabierze Ci nazbyt wiele czasu, natomiast jest w niej pełno faktów i zdarzeń. Może przyda Ci się. Zdobyłam ją dzięki zaprzyjaźnionemu księgarzowi, który gdzieś jej resztki wykopał. (…) Byłam wczoraj i przedwczoraj w Krakowie – słońce, ciepło, pięknie, myślałam o Tobie. (…)

Uściski – Kira

(…)

***

Spektakl *Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny* oczarował widownię. W baśniowej scenerii, na pograniczu snu i jawy, plączą się zwiewne postacie, tańczą, wirują wraz ze światłem i półcieniami, snują opowieści, potęgując strofy mówione szeptem niczym modlitwa, wyłaniają się z tła, by wołać gromko i wyraźnie, niosą śpiew przez szum mazurskich trzcin, przez krakowską ulicę z tętentem koni, przez blask warszawskich latarni, zgubione marzenia i „księżyc, który się nie goli". Przeplatają się różne nuty, grają światła i cisza, okno patrzy na świat zdziwionymi oczami, okrągły stolik zasnuty ciężką, ciepłą serwetą migocze w blasku świec. A na połyskliwej, rozwieszonej nieregularnie tkaninie różnymi kolorami świateł malowane są kolejne obrazy czasu, poezji i wyobraźni.

Kira Gałczyńska i Maria Nowotarska chodziły razem do szkoły podstawowej przy ulicy Pędzichów w Krakowie. Szkoła o nazwie „Instytut Marii" prowadzona była przez zakonnice. Mieściła się w starym przedwojennym budynku, zajmowanym podczas wojny przez Niemców.

Maria Nowotarska:

Pamiętam, jak przyszła do naszej klasy ładna, czarna dziewczynka z dużym poczuciem humoru, trochę taki łobuziak. Bardzo się polubiłyśmy. Czasem odprowadzałam ją na Basztową, gdzie wtedy mieszkała. Nie pamiętam jej ojca, ale bardzo dobrze

zapamiętałam ją.

Kira Gałczyńska:

Marię poznałam w pierwszych powojennych latach. Z tamtego Krakowa właściwie niewiele już pamiętam, ale pamiętam Marysię, z którą najpierw spotykałam się w szkole, a potem oglądałam ją w Teatrze Starym, kiedy już jako dziecko partnerowała znanym aktorom. Mówiłam wtedy mojemu ojcu, że ja też koniecznie chcę wystąpić w teatrze. Ale ojciec mi wtedy odpowiadał: do tego trzeba jeszcze coś mieć, coś, co się nazywa iskrą bożą. Tak więc Marię zapamiętałam jako śliczną dziewczyneczkę, która była małą aktorką jeszcze w szkole podstawowej. Potem ją zobaczyłam jako równie śliczną, ale trochę starszą dziewczynę po studiach. W ciągu następnych lat wiedziałam o niej, oglądałam ją w filmach, w telewizji, ale nie miałyśmy z sobą kontaktu.

Maria Nowotarska:

Po latach, będąc już w Kanadzie, wypożyczałam książkę autorstwa Kiry Gałczyńskiej, w której ze zdziwieniem przeczytałam: „zazdrościłam mojej koleżance z klasy Marysi Nowotarskiej, że grała w teatrze”. Niewiele myśląc, zdobyłam jej telefon i zadzwoniłam. Bardzo się ucieszyła.

Kira Gałczyńska:

Kiedy spotkałyśmy się w Polsce, to tak jakoś wróciłyśmy do siebie, jakby tych lat nie było. Okazuje się, że jeśli jest bliskość między ludźmi, to niekoniecznie musi być potwierdzana przez ciągłe spotkania. Ona nagle daje o sobie znać po latach, jako coś trwałego, bo jest gdzieś w nas zakodowana.

Maria Nowotarska:

Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Spotykałyśmy się, ilekroć byłam w Warszawie. Kira zawsze przychodziła na moje przedstawienia. A potem, gdy przygotowywałam spektakl o Gałczyńskim, zaprosiłam ją do udziału.

– Chciałabym, żebyś w tym wieczorze miała dwa wejścia prywatnej opowieści o ojcu, tak zupełnie od serca – powiedziałam.

Kira Gałczyńska:

Gdy Maria wymyśliła, że chciałaby w swoim Salonie zrobić Gałczyńskiego ze mną, przestraszyłam się. Przecież nigdy w taki sposób nie brałam udziału w spektaklu, nie potrafię tego zrobić. Ale ona mnie namówiła, tak jak to Maria potrafi.

– Przyjedź, zobaczymy, co z tego wyniknie – powiedziała.

Zorganizowała cały mój przyjazd i właściwie dopiero na miejscu zorientowałam się, jak dużą i niezwykłą pracę Maria tam wykonuje.

Maria Nowotarska:

Kira Gałczyńska bardzo była ciekawa przedstawienia, ale ja jej powiedziałam:

– Zaproszę cię na scenę dopiero podczas spektaklu. Chciałam, żeby Kira usiadła na widowni, w pierwszym rzędzie, żyła tym spektaklem tak jak inni i chciała się dowiedzieć, co będzie dalej. Nie chciałam, żeby jej występ był wyreżyserowany. Jej opowieść miała być jak najbardziej naturalna, od serca, jak rozmowa.

Kira Gałczyńska:

Spektakl ten powstawał spontanicznie, tak właściwie z niczego. Najpierw była korespondencja Marii, ona wybierała wiersze, potem piosenki, korespondowała ze swoimi znajomymi kompozytorami, przede wszystkim w Krakowie, a potem, kiedy ja przyjechałam, to właściwie wszystko już było gotowe. Została wyczarowana piękna scenografia i niezwykła muzyka. Dla mnie spektakl był niespodzianką.



Kira Gałczyńska (z lewej) i Maria Nowotarska po spektaklu.

***

(…)

Dziś i wczoraj przeplata się nawzajem. Są więc i wspomnienia z dzieciństwa, do których prowadzą warszawskie latarnie (*Pożegnanie z latarniami*). Gdy ze sceny padają słowa „żegnajcie kochane latarnie”, pojawia się po raz pierwszy Kira Gałczyńska i opowiada, że te latarnie prowadziły do domu na Towarowej w

Warszawie, domu smutnego, gdzie dwoje dorosłych ludzi nie umiało stworzyć ciepła dwóm małym chłopcom – Kostkowi i Mietkowi. Starszy, Kostek, próbował zastąpić i matkę, i ojca swojemu młodszemu bratu. Potem jest opowieść o szpilkach do włosów matki Konstantego, które, jak napisał poeta, znalazł w trzcinach, a tak naprawdę przejechały w jego książeczce do nabożeństwa cały świat. Jest to poetycka opowieść o miłości do matki i o dojrzewaniu do umiejętności wyrażenia tej miłości.

Bajkowość spektaklu nie byłaby do końca „gałczyńska" gdyby nie pojawił się tam Kraków, kataryniarz, zaczarowana dorożka i spacer po krakowskich uliczkach, gdyby nie było zapachu świąt Bożego Narodzenia (*Przed zapaleniem choinki* – Maria Nowotarska) i tych wszystkich cudów i dziwów zaczarowanego Krakowa. „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz i zaczarowany koń" – po raz drugi wprowadzają na scenę Kirę Gałczyńską, która pięknie mówi o ojcu i krakowskim domu przy Krupniczej, domu „Pod czterdziestoma wieszczami". Wspomina pusty pokój, który dość szybko wypełniał się nietuzinkowymi przedmiotami ze spalonego domu w Aninie (na przykład prawosławna ikona z domu rodzinnego Natalii Gałczyńskiej, którą przywiózł Jerzy Zaruba, sąsiad i przyjaciel). Ściany pokoju obrastały we wpisy, rysunki, obrazki malowane przez przyjaciół, znanych artystów. Zresztą każdy mógł zostawić swój wpis na ścianie, pod warunkiem, że miał coś ważnego do powiedzenia.

Kira Gałczyńska:

Gałczyński okazał się pod każdym względem czarownym spektaklem, ze swoją atmosferą i niepowtarzalnym urokiem.

Maria dobrze wie, że inaczej mówi się poezję Słowackiego, a inaczej trzeba mówić Gałczyńskiego. Świetnie potrafi połączyć lirykę z groteską, tak że w efekcie spektakl miał zarówno nastrój, taki bardzo „gałczyński", jak i był autentycznie zabawny. Maria poza tym umie wyegzekwować od aktorów to, co sobie wymyśliła. Tak więc i zespół mieścił się znakomicie zarówno w zabawie, jak i w warstwie lirycznej.

Przedstawienie miało dużo bardzo wzruszających momentów. „Księżycowa noc" i ta idealna cisza na widowni. Gdyby tam latały muchy, byłoby je słychać. Zarówno liryką, jak i absurdalnym Gałczyńskim Maria doskonale trafiła w oczekiwania publiczności, w jej percepcję, w jej zaangażowanie. Widzowie siedzieli zasłuchani, panowała kompletna cisza. A po spektaklu ciągnęły się rozmowy, którym nie było końca. Ludzie przychodzili, pytali, dlaczego spektakl jest grany tylko ten raz. Mnie też pytano, już konkretnie o Gałczyńskiego, o sytuacje, w jakich powstały rozmaite wiersze. To była bardzo sympatyczna rozmowa, jakbyśmy się od dawna znali. Jestem przekonana, że chociaż wróciłam do Warszawy, to gdzieś tam ten Gałczyński został wśród ludzi.

(…)

Notatka Jerzego Pilitowskiego pod datą 2 stycznia 1999:

> (…) Dwunasty (grudnia) premiera w Bishop Marrocco. Poszło pięknie. Ujawniły się walory inscenizacji, scenografii, dobrego wykonania aktorskiego (także Tomeczka), niestety widzów niewielu, może 200–250. Występ Kiry bardzo udany, a i ona nadzwyczaj szczęśliwa. Nazajutrz powtórka w Centrum Jana Pawła II – tym razem widzów znacznie więcej, chyba ponad 500. Sukces niewątpliwy, choć przeżywamy duży stres – obawę przed klęską finansową. Robota ogromna – oboje z Marysią gonimy resztkami sił. Po dokładnym obliczeniu okazuje się jednak, że nie jest tak źle i w zasadzie pokryjemy wszystkie zaplanowane wydatki, hurrra! Dobre recenzje Bonikowskiego w „Gazecie” i Kasprzyka w „Związkowcu”. 14-go Marysia jedzie z Kirą pociągiem do Montrealu, do Basi Horny. Szesnastego odprawiamy Kirę na lotnisko. Cała szczęśliwa – nikt nigdy nie zrobił takiego Gałczyńskiego.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 21 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code,

który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei

Pułkownik Józef Beck



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w Londynie, 4 kwietnia 1939 r. , fot. AP Photo.

Zdzisław Najder

Osiemdziesiąt lat temu, w czasie mojego szczenięctwa, nazywaliśmy naszą Ojczyznę „Polską Niepodległą” albo „Odrodzoną”. Używaliśmy wymiennie obu nazw. W Europie środkowej był to okres świadomego (albo czasem bezwiednego) szamotania się w poszukiwaniu państwowego bezpieczeństwa. Chodziło o znalezienie możliwie zacisznej pozycji między dwoma potęgami. Jedną był Związek Radziecki, w sierpniu 1920 roku przepędzony z Polski przez wojska dowodzone przez Józefa

Piłsudskiego. Stalin zmieniał ZSRR w maszynę do unicestwiania tych, których uznał za wrogów. Drugą potęgą były Niemcy, pokonane w I wojnie światowej. Od roku 1933 nazywały się oficjalnie Trzecią Rzeszą i pod wodzą Adolfa Hitlera szybko rozbudowywały swoją potęgę militarną.

Piłsudski zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Poufnie zaproponował Francji wojnę prewencyjną, by stłumić zagrożenie w zarodku. Francuzi propozycji nie przyjęli.

Urząd polskiego ministra spraw zagranicznych sprawował od 1932 roku pułkownik Józef Beck. Z zawodu był nie dyplomatą, ale oficerem i to frontowym, a nie sztabowym, artylerzystą. Podczas I wojny światowej służył w Pierwszej Brygadzie Legionów Piłsudskiego. W lipcu (4-6) 1916 brał udział w ciężkiej bitwie pod Kostiuchnówką na Wołyniu, najkrwawszej, którą Legiony musiały stoczyć. Otrzymał wówczas swój pierwszy Krzyż Walecznych. Później służył jako wysokiej rangi, a co najważniejsze – skuteczny, organizator i dowódca tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. POW działała na ziemiach zaboru rosyjskiego. Walczyła najpierw z Rosją carską, potem z bolszewikami. Młody Beck odznaczył się odwagą: jeszcze trzykrotnie przyznano mu Krzyż Walecznych, a później także Virtuti Militari. Działalność konspiracyjna musiała być dla niego nie łatwa, bo wyróżniały go i wzrost i nos. Pod obu względami przypominał Charlesa de Gaulle'a.

Beck pochodził z niezamożnej rodziny unickiej. Ojciec był lokalnym urzędnikiem. Urodził się w Warszawie 4 października 1894 r.; w księdze parafialnej (prawosławnej, bo Rosja carska Unii nie uznawała) jego nazwisko zapisano jako „Bek”. Po roku 1939 Hitler kazał wyszukać jego żydowskich przodków. Mimo usiłowań, nie udało się ich znaleźć; rodzina wywodziła się prawdopodobnie z Flandrii.

Cenił piękne kobiety; takie były jego dwie kolejne żony. Był także koniarzem, chociaż nie ułanem, jak Wieniawa, tylko artylerzystą. Za kołnierz nie wylewał, co było nieroztropne dla borykającego się z nawrotami gruźlicy. Umarł na nią dość młodo; przyczynił się do tego gen. Władysław Sikorski, mściwy jak zawsze, odmawiając w 1939 pomocy w wyciągnięciu za granicę internowanego w Rumunii ministra.



Ambasador włoski Alberto Martin Franklin na audiencji u marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Widoczni m.in.: szef Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Józef Beck (pierwszy z lewej), Józef Piłsudski, ambasador włoski Albert Martin

Franklin (pierwszy z prawej), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Najważniejszą sprawą w życiu i karierze publicznej Józefa Becka była przyjaźń z Józefem Piłsudskim. Znali się dobrze od roku 1913. Beck był wielbicielem marszałka, który cenił pułkownika jako fachowca i miał do niego szczególne zaufanie. W października 1920, krótko po zakończeniu wojny z bolszewikami, powierzył mu poufną misję do admirała Miklosa Horthy'ego, wrogiego komunistom regenta Węgier. Becka właśnie wysłał Piłsudski w styczniu 1921, wkrótce po zajęciu Wilna, do „zbuntowanego" gen. Lucjana Żeligowskiego. W marcu 1925 Beck poprosił marszałka, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym Andrzeja, jedynego syna. Wkrótce potem, świadom rugowania zwolenników Piłsudskiego z wyższych stanowisk w Wojsku Polskim, Beck sam podał się do dymisji i objął posadę urzędnika bankowego. Paradoksalne zajęcie, bo pułkownik zawsze żył z oficerskiej gaży, a do pieniędzy, nie przywiązywał większej wagi – jak zresztą całe otoczenie Marszałka (który sam utrzymywał rodzinę z honorariów autorskich, a rentę przekazywał na wileński sierociniec wojskowy).

Podczas przewrotu majowego w r. 1926 stanął po stronie Piłsudskiego. W latach trzydziestych spotykali się bardzo często. W końcowym okresie życia marszałek szczególnie się do Becka

zbliżył i wypowiadał się o nim do najbliższych współpracowników zarówno serdecznie, jak pochwalnie:

> W mojej pracy nad polityką zagraniczną Polski znalazłem szczególnie zdolnego i inteligentnego współpracownika… Ja nie mogę zrobić Panu dość komplementów, panie Beck.

Rozmawiali głównie o polityce zagranicznej, pasji Piłsudskiego. O ile wiemy, nie było między nimi różnic w ocenie sytuacji międzynarodowej Polski, która z roku na rok stawała się groźniejsza. Złowrogim sygnałem było nie ogłoszenie w Niemczech ustalonego 26 stycznia 1934 roku tekstu niemiecko-polskiej deklaracji o wzajemnej nieagresji. Marszałek był skądinąd zdania, że okres względnej równowagi międzynarodowej nie potrwa dłużej, niż cztery lata. Rozumiał, i Beck dzielił jego pogląd, że położenie Polski staje się tragiczne.

W rządach II RP Józef Beck sprawował różne funkcje; bywał szefem gabinetu premiera, wiceministrem i ministrem spraw zagranicznych. Był wszechstronny i pracowity. Mówił płynnie po rosyjsku, niemiecku i francusku. Urzędnicy republiki francuskiej wystawiali mu wtedy i później ocenę krytyczną. Złośliwie: kiedy 7 marca 1936 wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, łamiąc postanowienia traktatowe, Beck zawiadomił Paryż, że Polska jest gotowa poprzeć zbrojnie sprzeciw francuski. Daremnie. W roku

1939 okazało się, że ówcześni Francuzi nie chcieli umierać nie tylko za Gdańsk, ale nawet za Paryż. W Wielkiej Brytanii natomiast Beck znał osobiście dwu czołowych przywódców konserwatywnych: lorda Halifaxa, który długo miał nadzieję dogadać się w Hitlerem – i Winstona Churchilla, pierwszego Lorda Admiralicji i późniejszego nieugiętego premiera. Ogromną rolę w stosunkach polsko-brytyjskich odgrywał wówczas ambasador RP w Londynie hrabia Edward Raczyński, wybitny dyplomata i jeden z najznakomitszych polityków polskich XX wieku. Miałem zaszczyt go poznać w roku 1957. Zrobił na mnie wielkie wrażenie swoimi horyzontami politycznymi, znajomością spraw krajowych i wszechstronnością umysłową. Zaprzyjaźniliśmy się, mimo różnicy wieku, i przyjaźń ta sprawdzała się do końca. Ostatni raz rozmawiałem z Panem Edwardem, składając mu życzenia świąteczne na Boże Narodzenie w 1984 roku; miał wtedy 101 lat.

Beck i Raczyński znali się i wzajemnie mieli do siebie zaufanie. To umożliwiło im podpisanie 25 sierpnia 1939 roku (w ostatniej chwili przed wybuchem II wojny światowej) układu o pomocy wzajemnej między Polską a Wielką Brytanią. Rzeczpospolita zyskiwała sprzymierzeńca potężnego, bo rozporządzającego największą wówczas marynarką wojenną świata. W dodatku sprzymierzeńca, wygodnie oddzielonego Kanałem od kontynentu europejskiego. Układ wywołał wściekłość obu naszych totalitarnych sąsiadów i spowodował, że Józef Beck stał się

rekordzistą Europy w ściąganiu na siebie oskarżeń i kalumnii. Krytykowali go także polscy wrogowie polityczni – nie potrafiący zresztą oferować własnego wyjścia z sytuacji.



Józef Beck, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Hitler liczył, że bez trudu upora się z Polską, o wiele słabszą militarnie. Była mało zindustrializowana. Spajanie w jeden sprawny system szkolnictwa i administracji kraju, zeszytego z

trzech bardzo nierówno rozwijających się przez cały wiek XIX części, wymagało wielkiego wysiłku ludzkiego – i pieniędzy. Z ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego lat 1926/7 Polska wydźwigała się bardzo późno. Finansowany całkowicie przez państwo imponujący i szybki rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego (położonego w widłach Wisły i Sanu) zaczął się dopiero wiosną 1937 roku. Wówczas zdążono zainwestować trzy miliardy złotych, jedną czwartą w przemysł zbrojeniowy. Wybudowano m.in. dwie duże – i widowiskowo piękne – elektrownie wodne w Porąbce (na Sole) i Rożnowie (na Dunajcu), projektowane jeszcze przez zamordowanego w 1922 Gabriela Narutowicza.

Aby sobie zadanie ułatwić i jak najbardziej pognębić wroga – *Führer* zawarł układ z naczelnym wrogiem ideowym, Sowietami. „Pakt Ribbentrop – Mołotow" przewidywał podział Europy Środkowej na osobne strefy wpływów, a w tajnym załączniku również rozbiór Polski wzdłuż biegu Narwi i Bugu.

W swoim słynnym przemówieniu w Sejmie RP 23 sierpnia 1939, w którym odrzucił niemieckie ultimatum, Józef Beck umieścił konflikt niemiecko-polski na płaszczyźnie europejskiej. Nie wspomniał ani słowem o ZSRR. Pułkownik znał dobrze Sowiety i wiedział, że dla ich przywódców podpisane porozumienia międzypaństwowe są warte mniej, niż atrament, zużyty na ich własne podpisy. Stawiając Polsce warunki Hitler postulował

zburzenie całego ówczesnego porządku międzynarodowego. I na to polski minister powiedział: nie pozwalam!

Zdawał sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Pojęcie honoru należy do tej samej tradycji myślowej, co pojęcie tragedii. I honor właśnie nadaje sens ludzkim czynom w położeniu beznadziejnym.

Przemówienie Becka było rzecz jasna skierowane przede wszystkim do Sejmu RP i do Polaków. Ale również do Europy Zachodniej. Dla Niemców nie zawierało nic nowego; dla Sowietów – też nie. Decyzje w Berlinie i Moskwie zapadły zresztą już wcześniej. Minister spraw zagranicznych RP wiedział o tym – i obwieścił Europie polską niezgodę na zburzenie całego porządku międzynarodowego. Polskie veto miało niewielkie znaczenie militarne, bo przewaga sąsiadów była miażdżąca. Ale stawiało nas w jednym szeregu z państwami demokracji parlamentarnej.

I do tej nie nazwanej wspólnoty wartości politycznych odwoływaliśmy się uparcie również po II wojnie światowej.

*

Musieliśmy przeżyć pół wieku i wylać morze krwi, aby przy Okrągłym Stole skonsumować owoce tego przemówienia. Aleja Józefa Becka, na obrzeżach Warszawy, jest tylko skromnym

upamiętnieniem osoby jednego z najbardziej zasłużonych polityków polskich XX wieku. Jestem przekonany, że Marszałek, zerkając w prawo na własny Plac w Warszawie, widziałby z radością na rogu Wierzbowej (gdzie w czasach II RP mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych) postać swojego ulubionego i najzdolniejszego ucznia.

Profesor z innej epoki

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Starnawski ur. 22 lutego 1922 r., zm. 9 listopada 2012 r.

Wspomnienie w czwartą rocznicę śmierci



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor to mój mistrz i nauczyciel. Miał wielki wpływ na to, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Był naukowcem o fenomenalnej pamięci, perfekcyjnie opanowanym warsztacie literaturoznawczym i wielkiej miłości do literatury polskiej. Przekazał mi zobowiązanie wobec polskiej kultury.

Można o nim opowiadać anegdoty, bo w realnym życiu był czasami nieobecny, ale jego wkład w badania nad polską literaturą jest ogromny, a ilość napisanych prac niebywała.

Pamiętam mój pierwszy wykład na polonistyce na Uniwersytecie Łódzkim. Prowadził go prof. Jerzy Starnawski – opiekun naszego roku. Podczas wykładu narzekał, że młodzież teraz nie zna greki i łaciny. Zobowiązywał nas, żeby braki licealne nadrabiać, bo jacy z nas będą humaniści, skoro nie znamy języków klasycznych.

Wykładał historię literatury staropolskiej. Naszym podstawowym podręcznikiem miał być tzw. „Chrzan", czyli podręcznik Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)". Podręcznik ten mieliśmy uzupełnić nowszymi opracowaniami (Jerzego Ziomka – „Renesans", Czesława Hernasa – „Barok"). Mówił, że wprawdzie podręcznik Chrzanowskiego ma wady, ale został napisany, gdy Polska była pod zaborami, więc niesie ze sobą wielki ładunek emocjonalny i patriotyczny. Wiedzę można zawsze uzupełnić, a miłość do literatury to bagaż na całe życie.

Na egzamin z literatury staropolskiej na pierwszym roku czekałam przed salą egzaminacyjną przez trzy dni. Od rana do wieczora. Profesor był tak dokładny i tak długo każdego przepytywał, że kolejka niewiele się posuwała. A ja bylam dopiero na „s". Co jakiś czas ktoś wychodził i opowiadał jak wyglądał egzamin. Profesor strofował za sformułowania – na bazie czegoś, w oparciu o coś. – To jest język ekonomii, a nie literatury – mówił zdegustowany. – I źle się kojarzy z „bazą i nadbudową" z filozofii marksistowsko-leninowskiej.

Moje odpowiedzi na egzaminie mu się podobały. Czułam, że sprawdzał nie tylko wiedzę, ale i zrozumienie wagi, jaką jest dbanie o polską tradycję literacką. Mimo, że dobrze odpowiadałam, dostałam czwórkę z egzaminu. Na piątkę umie profesor, student najwyżej na czwórkę – to była zasada „Starnaviusa", jak na niego mówiliśmy.

Na wykład nie wolno bylo przyjść z kurtką w ręku, czy w płaszczu, nie wolno się było też spóźnić. Profesor rygorystycznie przestrzegał, szacunku dla wykładowcy. Studenci też się starali szanować jego wymagania.

To były czasy, że czuło się duży respekt przed profesorem i nie kwestionowało się jego decyzji, czy zwyczajów.

Profesor Starnawski twierdził, że niezwykle użytecznym przedmiotem w badaniach naukowych jest – pudełko do butów. Do rozmiaru pudełka docina się fiszki i alfabetycznie układa bibliografię. Jeśli trafi się na informację, która musi znaleźć się w naszej pracy, łatwo ją dodać, bez konieczności przepisywania całej bibliografii. W czasach komputerów pewnie trudno sobie wyobrazić, że wiele rzeczy robiło się na „piechotę".

Gdy przyszedł czas pisania pracy magisterskiej uparłam się na swój temat „Dzieje teatru zamkowego w Łańcucie". Związane to było z długą historią. Napisałam list do pani kustosz Powozowni

Zamkowej w Łańcucie, Teresy Żurawskiej, z prośbą o bibliografię, kiedy miałam dziesięć lat. Od tej pory zaczęła się korespondencja z nieocenioną panią Teresą, a moja wiedza na temat rodziny Potockich i dziejów zamku wciąż się powiększała. Pracy magisterskiej na taki temat nikt nie napisał, byłaby to praca pionierska. Pani Teresa mnie zachęcała, – Joasiu przyjeżdżaj, pokój gościnny w zamku na ciebie czeka.

Niestety, nie mogłam znaleźć promotora. Profesorowie, do których się zgłaszałam mówili, że nie są specjalistami, bo to temat z historii teatru, a nie literatury, czy że powinnam się specjalizować w jednej epoce, a nie pisać pracę przekrojową. Po którejś odmowie siedziałam zmartwiona na korytarzu i widzę biegnącego przez korytarz profesora Starnawskiego, z ręcznikiem i mydełkiem w ręku. – A ty dziecko, masz już promotora? – dźwięcznie zapytał. – Opowiedziałam więc mu o mojej przygodzie z Łańcutem i podzieliłam się rozterkami. Zaprosił mnie do gabinetu. – To teraz już masz promotora – oznajmił. Profesor uważał, że jeśli student ma jasno określone zainteresowania, nie należy ich ograniczać, a wręcz przeciwnie, rozwijać.

Nie myślałam wtedy, że to będzie początek przygody naukowej, i że zwiążę się z Katedrą Literatury Staropolskiej na długi czas. Przed obroną pracy magisterskiej powiedział, żebym się nie denerwowała, bo to ja jestem najwiekszą specjalistką w tym

temacie. Następnego dnia po obronie, profesor zaprosił mnie do swojego gabinetu o wczesnorannej porze, wyjął stertę prac magisterskich i doktorskich, posadził mnie przy biurku w swoim gabinecie i polecił, żebym się zastanowiła nad tematem doktoratu. Byłam zaskoczona, o doktoracie nie myślałam. Zaproponował mi też asystenturę w jego Katedrze, jak się znajdzie etat. Znalazł się po roku i zaczęłam pracować w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Profesor miał zwyczaj zapisywania różnych instrukcji na skrawkach papieru, odwrocie biletów tramwajowych, tylnej stronie maszynopisu, gdzie czcionka przebijała na drugą stronę. Uważał, że szkoda lasów, że papier trzeba oszczędzać. Teraz łapię się na tym, że też tak robię, wykorzystuję każdą wolną część papieru, na robienie notatek.

Nie marnował też czasu, zawsze coś czytał, albo notował. Nawet w kolejce do życzeń ślubnych czytał poezję Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

Kiedyś przyszłam do niego z listem Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego – literata i ministra wojny z okresu Powstania Listopadowego, do mojej prapraprababci Faustyny Sokołowskiej, wdowy po byłym oficerze Pawle Sokołowskim. List ten był w zbiorach rodzinnych. Profesor sprawdził w Nowym Korbucie i w Estreicherze, że taki rękopis nie jest skatalogowany. Potem

skonsultował się z grafologiem, czy podpis jest oryginalny. Był oryginalny. Dostałam więc zadanie napisać artykuł na temat tego rękopisu. Miałam sprawdzić daty urodzin i śmierci wszystkich osób wymienionych w liście i napisać charakterystykę tych osób. Jeździłam po parafiach, sprawdzałam. Miałam motywację rodzinną, a jednocześnie uczyłam się warsztatu naukowego w opracowaniu dokumentu epistolograficznego. Wysłałam ten artykuł i kopię listu do potomków Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego w Montrealu. Ucieszyli się, powiedzieli, że nie mają z swoich zbiorach ani oryginału, ani kopii autografu słynnego przodka.

Profesor Starnawski wysyłał mnie na różne konferencje naukowe, nawet jak nie miałam przygotowanego referatu, żebym uczyła się słuchając najlepszych. Tak poznałam słynnych profesorów Aleksandra Gieysztora, Janusza Tazbira czy Tadeusza Ulewicza.

Pamiętam wizytę na naszym uniwersytecie profesora Bernharda Kytzlera z Berlina. Był on bardzo znanym na świecie specjalistą od literatury klasycznej, a do tego poliglotą. Ja dostałam zadanie, aby się nim zajmować, odebrać z lotniska i zapewnić program w ciągu trzech dni. Pokazałam mu Łódź. Profesor Kytzler był bardzo dociekliwy prosił, żebym mu tłumaczyła nazwy ulic, np. co to był Manifest PKWN, czy co oznacza data 22 lipca. Jak się chciałam poddać, ze względu na braki w słownictwie

niemieckim, profesor nie odpuszczał, pytał się w inny sposób, korzystając z dużej gamy skojarzeń. Miał niezwykłą umiejętność dociekania do sedna.

Aby zapewnić atrakcje profesorowi Kytzlerowi, wymyśliłam wycieczkę do Nieborowa. Pojechaliśmy samochodem z moim tatą. Tata, konstruktor maszyn włókienniczych, uczył się języka chińskiego. Jeździł wtedy do Chin, aby w Azji wprowadzać w życie swoje wynalazki. Wiedząc, że gość zna różne języki, w tym chiński, powiedział kilka zdań po chińsku. Profesor odpowiedział płynnym chińskim. Zauważył, że tata mówi po kantońsku.

Po czasie prof, Starnawski powiedział mi, że przydzielił mi zadanie zajmowania się gościem z zagranicy, abym poznała ludzi ze świata, ćwiczyła język i poradziła sobie sama w kontakcie z ciekawym naukowcem.

W pamięci mam wizytę w ośrodku, gdzie prof. Starnawski odbywał rekonwalescencję po przebytym zawale. Profesor mówił wtedy, że czuje się jak rozbita szklanka. Na szczęście żył jeszcze wiele, wiele lat. Miał w sobie niebywałą siłę.

O profesorze Jerzym Starnawskim można by długo opowiadać. Był niezwykle ważną postacią w świecie nauki, ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, którego się nie zapomni.

Profesor Jerzy Starnawski – mój Mistrz



Profesor Jerzy Starnawski (po prawej).

Maria Wichowa

Zarys biografii naukowej

Jerzy Starnawski urodził się w Guzówce (pow. Krasnystaw) dn. 27 lutego 1922 roku, jako syn Tadeusza i Marii z Kuczyńskich. W roku 1931 jego rodzina przeniosła się do Lublina. Uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, gdzie w roku 1939 zdał maturę. Przez trzy lata (1933-1936) był uczniem wybitnego polonisty, dra Ludwika Kamykowskiego. *„On mnie uczynił polonistą”* – powiedział po latach Profesor w rozmowie z Marią Bokszczanin („Polonistyka” 1990, nr 10). Odebrał wychowanie patriotyczne. Po wybuchu II wojny światowej, jako żołnierz XIX Dywizji Piechoty uczestniczył w obronie Grodna, następnie został internowany na Litwie i miał być wywieziony w głąb Rosji. Jednak zbiegł z obozu i przez czas jakiś mieszkał w Wilnie. Przy próbie przedostania się do Lublina wpadł w ręce niemieckie. Był więziony razem z jeńcami radzieckimi. Przebywał w obozach Witzendorf, Zeven i Sandbostel. W kwietniu 1944 roku powrócił do Lublina. Pod koniec okupacji działał w tajnym nauczaniu, redagował pismo „W Ogniu Walki”, które następnie zmieniło tytuł na „Jestem Polakiem”.



Jerzy Starnawski



Jerzy Starnawski

Studiował polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1944-1948. Magisterium otrzymał na podstawie pracy *Tragizm w dziełach Karola Huberta Rostworowskiego.* Jego mistrzem był Juliusz Kleiner. Jerzy Starnawski w rok po egzaminie magisterskim doktoryzował się. W roku 1950 niedawno wypromowany doktor podjął pracę w KUL, gdzie był zatrudniony do roku 1964. Najpierw zajmował stanowisko starszego asystenta, od roku 1956, i od roku 1958 docenta. W roku 1964 przeniósł się na Uniwersytet Łódzki, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę w roku 1992 jako kierownik Katedry Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych. W UŁ najpierw był zatrudniony na stanowisku docenta, od roku 1974

profesora nadzwyczajnego a od roku 1981 profesora zwyczajnego. W UŁ stworzył najpierw Zakład od 1981 przemieniony w Katedrę. Równolegle w latach 1975-1984 pracował na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę nadal przez kilka lat pracował na cząstce etatu w UŁ, a oprócz tego w Wyższej Szkole Pedagogiczno – Humanistycznej w Łowiczu.



Profesor Jerzy Starnawski

Był wybitnym uczonym o wielkim dorobku, znanym i cenionym w środowisku slawistów i neolatynistów w całej Europie. Jego

dorobek liczy ok. 1200 artykułów, recenzji, edycji nieznanych utworów wydobytych z rękopisów, listów i innych tekstów. Wśród jego prac jest wiele takich, które informują o odkryciu nowych utworów czy dokumentów liczne inedita. Jego publikacje zawierają wiadomości o odkryciu przez Profesora wielu poloniców, rozsianych po bibliotekach całej Europy, bardzo często dzieł unikatowych, zawartych w rękopisach bibliotek naukowych Paryża, Rzymu, Kopenhagi itd.. Profesor pozostawił po sobie ok. 50 książek. Z nazwiskiem Starnawski polonistom kojarzy się nieodparcie znakomity podręcznik *Warsztat bibliograficzny historyka literatury polskiej* (1971) i *Warsztat bibliograficzny historyka literatur obcych* (1988). Profesor był wybitnym edytorem odkrytych przez siebie tekstów. Doświadczenie zdobyte w praktyce umożliwiło mu napisanie podręcznika *Praca wydawcy naukowego* (1979). Przygotował szereg prac edytorskich, m.in. wydania pism Orzechowskiego w Bibliotece Narodowej (1972), Szymona Starowolskiego *Scriptorum Polonicorum Hecatontas* (*Setnik pisarzów polskich*, 1970) oraz *Sarmatiae bellatores* (*Wojownicy sarmaccy*, 1978). Oba dzieła opublikował we własnych przekładach z łaciny z komentarzem i wstępem oraz wprowadzeniem do lektury. Jerzy Starnawski ma też w swoim dorobku edycję tekstów łacińskich. Zaszczyt mi przynosi wydanie pieśni Eustachego Konobelsdorfa, wydobytego z zapomnienia przez Profesora znakomitego poety XVI w., pochodzącego z Warmii.

Tom: *Eustachius Cnobelsdorf*, *Carmina Latina*, *Cracoviae* (1995). Książka wyszła w serii Corpus Antiquissimorum Poetarum Poloniae Latinorum usque ad Ioannem Cochanovium, t. 8. To właśnie dzięki staraniom prof. Starnawskiego seria ta została reaktywowana w PAU. Następny 9. również przygotował Jerzy Starnawski, we współpracy z Romualdem Turasiewiczem. Zawiera Marcina Kromera *Carmina Latina* (2003). Mistrz opracował i wydał z przekładem tom Korespondencja Macieja Kazimierza Sarbiewskiego ze Stanisławem Łubieńskim (1986). Horacym chrześcijańskim zajmował się przez wiele lat, opublikował na jego temat tak wiele prac, że był najlepiej przygotowanym polskim uczonym do napisania nowej monografii tego poety. Jako edytor Jerzy Starnawski zasłużył się wydając w Bibliotece Filologii Polskiej pod red. Tadeusza Ulewicza tomy studiów zmarłych historyków literatury. Przygotował pracę Wilhelma Bruchnalskiego w książce *Miedzy średniowieczem a romantyzmem* (1975), a następnie zbiór studiów Stanisława Łempickiego *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce* (1992). Poza wymienioną serią wydał wybór prac Ignacego Chrzanowskiego (2003). Dokonał reedycji prac swego mistrza uniwersyteckiego Juliusza Kleinera. Mianowicie przygotował tom jego studiów o Krasińskim (1977), monografię o Słowackim (1999). Jako badacz pozostałych po Kleinerze rękopisów zredagował tom *Studia inedita* (1964), trzeci obejmujący prace o Krasickim, Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim oraz drugą książkę tego uczonego *Sentymentalizm i Preromantyzm* (1975) –

wykłady o literaturze porozbiorowej przed Mickiewiczem.

Jako badacz literatury staropolskiej pracował nad największymi pisarzami okresu renesansu (Rej, Orzechowski, Frycz Modrzewski, Kromer). Jerzy Starnawski ma w swoim dorobku monografię *O źwierzyńcu Mikołaja Reja z Nagłowic* (1971), *Andrzej Frycz Modrzewski. Żywot, dzieło, sława* (1981). Ważna książką jest *Średniowiecze,* wydane w serii Biblioteka Polonistyki (1975,1989), z obszernym wstępem syntetycznym pt. *Kultura średniowiecza i* ze świetnie skomponowanym działem *Materiały,* i obejmującym wybór tekstów o wiekach średnich zarówno badaczy polskich jak i obcych. Publikacja ta jest bardzo użyteczna w dydaktyce uniwersyteckiej.

Jako nauczyciel akademicki prowadził wykład z historii literatury staropolskiej. Po przejściu na emeryturę zebrany przez lata materiał zamieścił w książce *Zarys dziejów literatury staropolskiej* (1993). Docenić też trzeba wyniki badań zawarte w książce *Pisarze jezuiccy w Polsce (wiek XVI – XIX),. Studia i materiały* (2007). Ważne pozycje w dorobku Jerzego Starnawskiego to monografie i monograficzne zbiory studiów. Trzeba tu wymienić *Drogi rozwojowe hagiografii polskiej i łacińskiej w wiekach średnich* (1993) – zarys monograficzny. Już po wydrukowaniu książki, gdy profesor wręczał mi egzemplarz autorski, zauważył pomyłkę w tytule, bowiem zgodnie z zamiarem autora i z zawartością publikacji powinno być

„hagiografii łacińskiej i polskiej”. Łódzki neolatynista zredagował i prawie w całości wypełnił swymi pracami dwa tomy zbiorowe *Antyk w Polsce* (cz. I, 1992, cz. II, 1998), choć w części drugiej zespół autorów znacznie się rozszerzył. Bardzo intensywnie współpracował z czasopismem „Filomata” w porozumieniu z prof. Józefem Korfantym – redaktorem naczelnym. Przygotował szereg numerów tego pisma, poświęconych antykowi w Polsce: w średniowieczu (nr 403), w epoce renesansu (nr 405,406), w dobie baroku (nr 408), w oświeceniu (nr 412), romantyzmu (nr 414-416), w drugiej połowie w. XIX (nr 419/420). Najwięcej było prac Mistrza, mniej pracowników Katedry i UŁ, do „epok późniejszych” redaktor zapraszał autorów także z innych ośrodków naukowych. W tej grupie prac trzeba też wymienić książkę *Antyk wciąż żywy* (2010). Dość dużo artykułów o tematyce neolatynistycznej zawierają tomy studiów Mistrza: *Odrodzenie. Czasy. Ludzie. Książki* (1991), *W świecie barokowym* (1992), *Wieki średnie i wiek renesansowy w Polsce* (1996*), Od zarania dziejów literatury polskiej po wiek XX* (2003), *Pisarze jezuiccy (wiek XVI-XIX). Studia i materiały* (2007), *Z dziejów renesansu w Polsce* (2007).



Profesor Jerzy Starnawski

Profesor Starnawski dużo wysiłku umysłowego poświęcił badaniu dziejów polonistyki. W jednej z książek omówił dorobek wybitnego historyka literatury Bronisława Chlebowskiego (1986). Następne poświęcone są badaniom środowisk naukowych. Tak więc opracował *Sylwetki lwowskich historyków literatury* (1997), następnie *Sylwetki wileńskich historyków literatury* (1997), *Sylwetki krzemienieckich historyków literatury* („Biesiada Krzemieniecka”, 2003), *Sylwetki lubelskich*

humanistów XIX i pierwszej połowy XX w. (2004). Ponadto wydał cztery tomy prac pt. *Z dziejów polskiej nauki o literaturze* (seria IV 2011), *Z dziejów polskiej nauki o literaturze w wieku XIX i XX* (1997). Opracował *Zarys dziejów katedry języków i literatur słowiańskich w Uniwersytecie Fryburskim* (1984). Zupełnie wyjątkową i fundamentalną praca profesora jest książka *Dzieje wiedzy o literaturze polskiej do końca wieku XVIII* (1984), wydana przez PAN, Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki. Jako badacz dziejów polonistyki powołał do życia i redagował *Słownik badaczy literatury staropolskiej,* w dziesięciu tomach, opracowany tzw. systemem holenderskim (każdy tom w układzie alfabetycznym A-Z). Zeszyt próbny ukazał się w r. 1986, t.1-10 w l. 1994-2009 i indeks haseł w 2009. Tomy I-VI wydał UŁ, zaś pozostałe ŁTN.

Jerzy Starnawski był znakomitym bibliologiem, wielokrotnie pisał o bibliografiach, bibliofilach i bibliologach dawnych i współczesnych. Opublikował dwa tomy prac pt. *Ludzie książki* (2000-2008). Przez wiele lat prowadził seminarium magisterskie w Katedrze Literaturoznawstwa. Profesor prowadził badania w szerokich kontekstach kulturowych, czego dowodem jest książka *Polska w Europie* (2001). Wykazywał w niej nasze tysiącletnie więzi kulturalne z Europą i dowodził, że nie ma mowy o żadnym wchodzeniu Polski do Europy, bo w jej kulturze jesteśmy od zawsze obecni. Mój Mistrz był znakomitym neolatynistą, znanym w krajach Europy zachodniej. Jest odkrywcą ważnych tekstów

łacińskich i ich edytorem oraz badaczem. Zaczął prezentację swoich studiów bardzo efektownie. Mianowicie w roku 1966 został zaproszony do Brna na zjazd EIRENE (Stowarzyszenia Filologów Klasycznych Krajów Demokracji Ludowej). Przedstawił tam referat o odkrytym przez siebie utworze czeskiego poety Wacława Klemensa pt. Lechiados Libri IV z pierwszej połowy XVII w. W tych okolicznościach poznał łódzki uczony profesora Józefa Isejwina z Lovanium, organizatora I Kongresu Neolatynistów, który zainteresowawszy się tym odkryciem zaprosił J. Starnawskiego na ten kongres. Przyznać trzeba, że jako neolatynista łódzki filolog był bardziej znany i ceniony za granica niż w kraju. Dzieje swych neolatynistycznych peregrynacji naukowych przedstawił w tomie *Kongresy, sympozja, sesje naukowe* (1999). Uczestniczył w nich przez prawie trzydzieści lat. Niektóre prace nad poezją łacińską doby staropolskiej umieścił w tomie *Antyk wciąż żywy* (2010), a niezliczone prace o autorach rodzimych wypowiadających się w mowie Cycerona umieszczał w czasopismach. Badał teksty Dantyszka, Knobelsdorfa, Krzyckiego, Reja, Kochanowskiego, Kromera, Sarbiewiskeigo ,Wujka, Skargi i innych. Miał bardzo rozległą wiedzę, która pozwalała mu napisać kompetentnie pracę *Poezja nowołacińska krajów Europy środkowej w pracach ostatnich dziesiątków lat* (1988).

Mistrz był bardzo aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Pierwszy odczyt wygłosił tam 25 II 1966 roku.

Mówił na temat *Przydatność znajomości języka łacińskiego dla badan literackich*. Zdarzały się takie lata, gdy występował jako prelegent dwu lub trzykrotnie. W ostatnich latach życia profesor tracił siły, był mniej aktywny w PTF. W lutym 2009 roku podjął decyzję o wystąpieniu z Towarzystwa.



Profesor Jerzy Starnawski z żoną Teresą.

Hojnie płacił daninę swojej ziemi rodzinnej. Ogłaszał liczne biogramy humanistów lubelskich, pisał o osiągnięciach naukowych i kulturalnych Lubelszczyzny, o Lublinie w literaturze i literaturze o Lublinie, o pisarzach Lubelszczyzny. Z wielką sympatią mówił i pisał o Tadeuszu Szeteli, „ludowym historyku", chłopskim uczonym, autorze dwóch monografii wsi: *Do Brzechowa i Kożuchowa*. Dość dużo miejsca poświęcił w swych badaniach twórcom romantyzmu. We wczesnych latach działalności naukowej ogłosił książkę (pierwszą w swoim dorobku *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych* (1956)), potem *Adam Mickiewicz w poezji polskiej i obcej* (1961), zbiór studiów o twórczości i recepcji czterech wielkich romantyków *W świecie olbrzymów* (1998), a tuż przed śmiercią opublikował tom *W kręgu czterech wielkich romantyków* (2012), jeszcze zdążył wziąć tę książkę do reki i sporządzić notatkę na temat rozdysponowania egzemplarzy autorskich. W tym samym czasie otrzymał paczkę z kolejną książką *Z ziemi przemyskiej i z krajów sąsiednich* (2012). Opublikowaniem książki *Reymont i inni* zareagował na „rok reymontowski" (2000).

Profesor Jerzy Starnawski należał do kilku Towarzystw Naukowych: Towarzystwa Naukowego KUL, Lubelskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w

Przemyślu, gdzie był wieloletnim redaktorem zeszytu *Literatura i Język Rocznika Przemyskiego*. Należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Zamościu oraz do Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, do Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. W roku 1967 został przyjęty do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Przez wiele kadencji przewodniczył Wydziałowi I Językoznawstwa Nauk o Literaturze i Filozofii. Za swe wybitne zasługi otrzymał członkostwo honorowe ŁTN. Znakomicie organizował prace wydziału, redagował Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń ŁTN. W roku 1992 został członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności a w roku 1997 członkiem czynnym. Przez kilka lat przewodniczył Komisji do badania dziejów polskiej nauki o literaturze przy Komitecie Nauk o Literaturze PAN. Za swą twórczość był uhonorowany nagrodami Rektora UŁ, nagrodami Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał także medal Komisji Edukacji Narodowej.

Wraz z odejściem Profesora Jerzego Starnawskiego na wieczny odpoczynek skończyła się ważna era w badaniach nad literatura polską w UŁ. To był człowiek – instytucja, znakomity uczony, wyjątkowa indywidualność profesorska, wybitny humanista, erudyta prowadzący dynamicznie badania na wielką skalę i dobrze uprawiający dydaktykę w uczelni, którą dosłownie traktował jak świątynię wiedzy.

„Teatr spełnionych nadziei” – opowieść o polskim teatrze w Toronto.



Panorama Toronto od strony jeziora Ontario, fot.: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską. Oto fragment wstępu – jak powstawała książka.

Gdy wylądowałam w Toronto na lotnisku Pearson po wielogodzinnej podróży, w moje imieniny, 24 maja 2001 roku, z niepewnością myślałam, co mnie tu czeka. Zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Jaki, to się dopiero miało okazać. Na razie były tylko labirynty korytarzy, ruchome schody, windy i wielkie szyby, w których widziałam swoje odbicie. (…) Lądując na lotnisku Pearson, wiedziałam, że mój świat, jedyny w swoim rodzaju, który sobie urządzałam wiele lat, zostawiam za sobą bezpowrotnie. Nie, nie żałowałam, ale liczyłam się z tym, że w Kanadzie, w mało uniwersalnym zawodzie nie znajdę pracy. Dokonałam jednak wyboru między moim polskim życiem, z kochającą rodziną, na którą zawsze mogłam liczyć, przyjaciółmi, znajomymi miejscami, a emigracyjnym, nieznanym, zaoceanicznym światem Jacka. Zdawałam sobie sprawę, że kończy się jakiś etap, a ja zamykam za sobą drzwi na zawsze.

Spotkanie z teatrem

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Małgorzata Bonikowska, redaktor do spraw kultury w torontońskiej „Gazecie”, wysłała mnie na spektakl Marii Nowotarskiej o Marianie Hemarze, z prośbą, żebym napisała recenzję. Szłam z mieszanymi uczuciami, wydawało mi się, że na emigracji nie ma warunków, aby mógł powstać zawodowy teatr, i że zapewne wysłucham paru piosenek, wierszy i na tym się skończy. Do tego Paweł Deląg zaproszony na spektakl, jako gwiazda wieczoru, w ostatniej

chwili odwołał przyjazd do Toronto. Przedstawienie jednak bardzo mnie zaskoczyło. To był w pełni udramatyzowany spektakl teatralny, z akcją, kostiumami, dekoracją, w przeznaczonej do tego sali teatralnej Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze. Występujący artyści byli profesjonalistami, do tego dobrze przygotowanymi i wyreżyserowanymi. Dowiedziałam się też dużo o Hemarze, o różnych etapach jego życia, marzeniach i rozczarowaniach. Mimo że znałam jego teksty, podczas tego spektaklu po raz pierwszy zobaczyłam Hemara jako żywego człowieka, a nie odeszłą w przeszłość legendę. Postać została uplastyczniona poprzez odpowiednio zbudowany scenariusz i czar sceny, któremu poddali się wszyscy uczestnicy. Zauważyłam wśród publiczności śmiech, radość i łzy wzruszenia. Zapewne razem z Hemarem zostały wyciągnięte z zakamarków emigracyjnej duszy własne wspomnienia o białych bzach pachnących w maju, kiedy szło się za rękę z ukochanym, czy inne momenty sentymentów młodości. Poczułam wtedy, że twórcy tego teatru podchodzą do pracy z wielkim szacunkiem dla widza i swoją bezinteresowną, ciężką pracę dają nam, dorosłym Polakom na emigracji i młodemu pokoleniu, które urodziło się w Kanadzie. Budują pomost dla naszej tożsamości, pomiędzy ojczyzną a krajem, który adoptowaliśmy. Po spektaklu za kulisami pojawił się profesor Florian Śmieja, iberysta i poeta mieszkający kiedyś w Londynie, który chodził na „hemarowe” spektakle. Ten wieczór przywołał też i jego wspomnienia. Byłam pod wrażeniem

połączenia historii, legendy i rzeczywistości. Otwierał się przede mną sezam ze skarbami kultury, pasją tworzenia i misją do spełnienia. Zapragnęłam o tym wszystkim pisać. To był nowy obszar, w który wchodziłam. Uwierzyłam, że i tu, w Kanadzie, mogę znaleźć swoją wyspę i nie muszę żegnać się z zawodem.

Propozycja



Maria Nowotarska i Jerzy Pilitowski na balkonie swojego apartamentu, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Dom Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego okazał się

bardzo przyjazny. Wielki, miękki fotel, w którym można było się zapaść bez reszty i zapomnieć o całym nieartystycznym świecie, zapach pysznego placka ze śliwkami – specjalność Jerzego Pilitowskiego – żarty, śmiechy, rozmowy przez telefon, drobne chwile, których się nie zapomina, pozornie ulotne zdania, będące życiową nauką. W tej rodzinnej atmosferze powstawały pomysły sceniczne, starałam się je uchwycić w momencie tworzenia i obserwować ich rozwój. Lubiłam wielogodzinne rozmowy i ten specyficzny nowotarsko-pilitowski klimat. A potem, jadąc metrem ze stacji High Park do stacji Lawrence, z przesiadką na Yonge i Bloor, obmyślałam zapowiedzi teatralne do „Gazety". Żyłam każdym kolejnym spektaklem, uczestniczyłam w jego powstawaniu. I tak minęły trzy lata, od kiedy znalazłam się w Toronto. W okresie świąt Bożego Narodzenia 2004 roku zostaliśmy z Jackiem zaproszeni przez Marię i Jerzego na kolację. Biesiadowaliśmy przy dużym stole nakrytym ciężką, bordowo-złotą, ozdobną tkaniną z frędzlami, Jerzy Pilitowski otworzył *icewine*. W tej „christmasowej" i domowej atmosferze z radością przyjęłam propozycję napisania książki o Salonie Poezji, Muzyki i Teatru – tym kulturalnym emigracyjnym fenomenie.

Jak powstawała książka

Głowę miałam pełną pomysłów. Książka o scenie, spektaklach, twórcach, ciężkiej pracy w trudnych warunkach i wielkiej pasji… Materiał ogromny, wiele osób przewinęło się przez scenę.

Zaczęłam się umawiać na rozmowy. Najczęściej w apartamencie Marii i Jerzego z balkonem pełnym kwiatów i ziół, a po ich przeprowadzce na jedenaste piętro dodatkowo z widokiem na jezioro Ontario i torontońskie Downtown. Siadałam na kanapie pod portretem Marii w wielkim kapeluszu autorstwa Ilony Biernot i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, pytałam, słuchałam, nagrywałam. Gdy było ciepło, Maria Nowotarska wyciągała mnie na spacery do High Parku nad jeziorem Ontario. Tam na ławeczce w cieniu drzew, przy fontannie, zawsze elegancka artystka w powiewnej letniej sukience opowiadała mi o sobie i swoich pomysłach. Mówiła pięknie, literackim językiem i z dużym zapałem. Malowała wizje sceny stworzonej z teatralnej wyobraźni przywiezionej z krakowskiego teatru, z tradycji literackiej i dawnej dobrej aktorskiej szkoły. Podczas rozmów otwierała się przeszłość w masce scenicznych wspomnień. Nagrywałam też Jerzego Pilitowskiego, oglądałam fotografie, a raz nawet udało mi się namówić go na zaśpiewanie słowackiej piosenki góralskiej, po słowacku, oczywiście. Mówił, że nosi się z zamiarem spisania piosenek z czasów górskich wędrówek, póki je pamięta.

Obserwowałam, jak powstaje teatr od kuchni. Próby do Powstania Warszawskiego odbywały się w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Dundas Street. Partie za brakujące osoby czytała Maria Nowotarska. Podobno to normalne, nigdy nie ma kompletu artystów, pojawiają się dopiero

na premierze. Trudno jest pracować, markując luki w obsadzie. Zapamiętałam ogólne zdyscyplinowanie i panujący na próbie rygor, któremu wszyscy bez wahania się poddawali. Byłam też na próbie w domu skrzypaczki Joanny Zeman, w Niagara-on-the-Lake, wiktoriańskim miasteczku z kolorowymi kamienicami, kawiarniami, galeriami, ogrodami, z letnim stukotem końskich kopyt, jeżdżącymi po ulicach białymi powozami i słynnym festiwalem Bernarda Shaw. Dom był duży, stylowo urządzony, w zacisznej alei z widokiem na strumień. Mieścił się w nim Bed and Breakfast Chateau Gate. Joanna Zeman z dumą pokazywała smyczek należący do Henryka Wieniawskiego, a w jednym z pokoi na dole – podpisy znanych osób na ścianie. Na próbę przyjechał Kazimierz Braun z Buffalo. Ja przyjechałam samochodem z Marią i Agatą z Toronto. Po drodze zatrzymałyśmy się w niemieckiej piekarni piekącej pachnący chleb z chrupiącą skórką, który budził wspomnienia z dzieciństwa. Podobno to rytuał – Maria z Agatą zawsze tu wchodzą, jeśli jadą w kierunku Buffalo. Po wypiciu kawy ruszyłyśmy dalej. W samochodzie cały czas rozmawiałyśmy o sztuce „Promieniowanie”, o Marii Skłodowskiej-Curie.



„Promieniowanie. Rzecz o Marii Skłodowskiej-Curie” – próba w domu Joanny Zeman w Niagara-on-the-Lake. Od lewej: Agata Pilitowska, Kazimierz Braun, Maria Nowotarska, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Próba z reżyserem to intensywna praca. Agata nie lubi prób i się z tym nie kryje. Potrzebuje widowni, wtedy potrafi dać z siebie wszystko. Próba dla niej to imitacja, spektakl przecież nie dzieje się naprawdę. Ale na próbie sztuki o Marii Skłodowskiej-Curie zdawała się utożsamiać z córką słynnej matki. Słychać było w jej

głosie autentyczną walkę o własne ja. Podczas spektaklu Agata złagodniała, była bardziej oszczędna w emocjach, a przez to bardziej wyrazista. Maria uważa próby za bardzo ważny element w procesie przygotowań. Jest uporządkowana, dla niej wielokrotne powtarzanie i praca nad tekstem są kuźnią dobrego rzemiosła teatralnego. Bo teatr to też technika, a nie tylko emocje.

Byłam nie tylko blisko sceny, ale przede wszystkim blisko jej twórców. Umawiałam się też z innymi artystami, prowadziłam długie rozmowy, pytałam o różne szczegóły. Spostrzegłam, jak bardzo ten emigracyjny teatr jest potrzebny. Przyjechało tu przecież wielu wspaniałych śpiewaków, aktorów, artystów plastyków. Zostali bez swoich teatrów, bez swojego miejsca. Często wykonują inne zawody, żeby żyć, musieli się przekwalifikować. Dzięki Salonowi realizują się, nie odchodzą od tego, co ich tworzy i wypełnia – od sztuki. A Maria Nowotarska potrafi zarazić energią i pokazać, że musi się udać, nie ma innej możliwości.

Wiosną 2005 roku podjęliśmy z Jackiem decyzję wyjazdu z Toronto. Jacek dostał propozycję pracy na Rutgers University w stanie New Jersey w USA. Otwierały się przed nim nowe możliwości zawodowe, miał pracować ze znanymi osobami w jego dziedzinie – Human Computer Interaction. W wakacje zapakowaliśmy cały swój dobytek do samochodu ciężarowego

i ruszyliśmy przez Buffalo i stan Nowy Jork, a potem góry Pensylwanii do New Jersey. Nowe życie, a w praktyce nowa emigracja, pochłonęło bardzo dużo naszej energii. Zamieszkaliśmy na pięknym osiedlu z basenem, na skraju lasu, z podchodzącymi pod okna sarnami, zającami, które godzinami mogłam obserwować, szarymi wiewiórkami i mnóstwem ptaków. Z jednej strony kontakt z naturą wzbudzał mój zachwyt, ale z drugiej, po tempie dużych miast, w których zawsze mieszkaliśmy, trudno mi było się przestawić na inne życie. Wprawdzie centrum Manhattanu oddalone było od nas tylko o jakąś godzinę drogi, ale dojazd do stacji kolejki bez możliwości zrobienia prawa jazdy okazał się przeszkodą nie do pokonania. Wypadłam przy tym z rytmu pisania książki. Brakowało mi ludzi, inspiracji, czułam się odizolowana. Pomagała mi świadomość bliskości życzliwej mi pisarki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Oleńki od Wańkowicza), mieszkającej razem z mężem Normanem w Wilmington w stanie Delaware. Zawsze mogłam się do niej zwrócić z prośbą o radę czy przyjrzeć się warsztatowi pisarskiemu.

W stałą pomoc włączyła się moja nieoceniona mama. Spisywała wywiady, co jest zwykle bardzo czasochłonne. Była moim barometrem emocji. Gdy czytałam jej jakiś fragment, a ten ją wzruszał czy zaciekawiał, zostawiałam. Gdy natomiast słuchała z grzeczności, mówiąc potem „no ładnie” czy „interesujące”, wiedziałam, że muszę jeszcze popracować, wzbogacić o pewne

szczegóły czy rozpisać na głosy. Mama wstawała o szóstej rano, wtedy było cicho i mogła się skupić. Mój srebrnobiały, skośnooki kot Maciek, którego zostawiłam rodzicom, tak się przyzwyczaił do mojego głosu dochodzącego z głośnika, że gdy minęła szósta, a moja mama nie wstawała, przychodził pod sypialnię rodziców i ją budził. A potem układał się na biurku, wsłuchując się w opowieści oraz stukot klawiszy.

Cały czas wspierał mnie Jacek. Jest osobą piszącą, więc doskonale rozumie proces tworzenia książki i opanowywania ogromnego obszaru informacji. Często z nim na ten temat dyskutowałam. Stwarzał mi warunki do pisania, rozumiejąc potrzebę powstania takiego projektu i wkładany w niego ogromny wysiłek, a także błądzenie i niepewność, która towarzyszy takiemu procesowi.



Maria

Nowotarska na wycieczce w Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Kilka razy przyjechała do nas do Stanów Maria Nowotarska, „na wczasy”, jak to żartobliwie określała. Za pierwszym razem spadł śnieg. Robiłyśmy długie spacery po przylegającym do naszego osiedla polu golfowym z kilkoma stawami, uginającymi się od białego puchu choinkami, pagórkami i długimi odcinkami wydeptanych ścieżek. Na śniegu widać było ślady saren, a my, podziwiając otoczenie, zagłębiałyśmy się w rozmowę. Maria, piękna i elegancka, w długim, ciemnym, futrzanym, rozkloszowanym płaszczu, wzbudzała zachwyty ubijających ścieżki pracowników pola golfowego, którzy na jej widok zatrzymywali swoje pojazdy i nisko się kłaniali. To samo było w Princeton, mieście Alberta Einsteina oraz uniwersytetu dla dzieci bogatych i ustosunkowanych rodziców, gdzie jaguar zaparkowany na ulicy nie jest rzadkością. Ludzie wyraźnie zwracali uwagę na naszą Marię Nowotarską, na jej ubiór, chód i gesty. Po wycieczkach i spacerach siadałyśmy przy kawie i cieście, nie przestając rozmawiać i nagrywać. Wieczorem zaś otaczał nas inny klimat. Kolacja w jadalni z widokiem na posadzoną przez nas na zewnątrz choinkę ubraną

w bożonarodzeniowe lampki, a potem herbata przy kominku i wsłuchiwanie się w opowieści z życia sceny, aktorów, teatru, na przykład o tym, jak Maria grała w filmie „Nikodem Dyzma" z Adolfem Dymszą, jak się przeziębiła w pociągu na trasie Kraków–Łódź i nie mogła zagrać wszystkich wyznaczonych na planie scen. I wiele, wiele ciekawostek o znanych nam i lubianych ludziach teatru oraz aktorskim życiu. Tyle przy tym było żartów, dowcipu i humoru, tyle w nasz dom wniosła energii i życia, że Jacek, zwany przez Marię Jacentym, zaraz po odwiezieniu jej na lotnisko zapytał, kiedy znów do nas przyjedzie.



Maria Nowotarska i Joanna Sokołowska-Gwizdka na wycieczce do Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Przyjechała jesienią. Wtedy miałyśmy do dyspozycji inną gamę kolorów. Robiłyśmy sobie wyprawy na osiemnastowieczną holenderską farmę Van Wickle House nad kanałem przy rzece Raritan, około dwudziestu minut drogi od nas. To bardzo malownicze miejsce. Przy farmie jest piękny ogród z altaną obrośniętą pnącymi różami. Z tyłu weranda z ławeczkami, z widokiem na starą studnię i drewniany pomost prowadzący nad kanał, wśród tataraku, suchych traw, brązowych pałek i dzikiego ptactwa. Siedziałyśmy z Marią Nowotarską na ławce i rozkoszowałyśmy się ciepłem jesiennego słońca. Mówiłyśmy wtedy o Halce, Moniuszce, tradycji i artystach. Potem przechadzałyśmy się kolorową aleją wśród drzew i przydrożnych jesiennych kwiatów, prowadzącą przez groblę, pomiędzy rzeką a kanałem wykopanym przez irlandzkich emigrantów w dziewiętnastym wieku, spotykając po drodze rodziny gęsi, kaczek i żółwi wyciągających głowy ze swoich ciemnych pancerzy, pousadzanych rzędem na zwalonych pniach. Maria przyjechała do nas jeszcze kilka razy z Toronto autobusem, żeby w spokoju przygotować materiał o podróżach Salonu i autoryzować całość.



XVIII_to wieczna farma Van Wickle House nad rzeką Raritan, miejsce rozmów z Marią Nowotarską.

Oprócz wizyt Marii Nowotarskiej w naszym domu w New Jersey bardzo ważne były moje podróże. Wiele razy jeździłam do Toronto, spotykałam się tam nie tylko z Marią, ale i z Agatą w Mississaudze w jej pięknym domu o artystycznym charakterze oraz z innymi artystami. Byłam też w Polsce. W Krakowie zatrzymałam się w mieszkaniu Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego przy ulicy Senatorskiej. Zaprosili mnie do siebie na

wino i ciasto niezwykle życzliwi sąsiedzi, państwo Daniszewscy, opiekujący się mieszkaniem. Dużo się wtedy dowiedziałam o krakowskim barwnym życiu bohaterów pisanej przeze mnie książki. Wzruszyła mnie koleżanka Marii Nowotarskiej ze szkoły, nieżyjąca już pani Jadwiga Skiba. Z jaką miłością mówiła o domu „Marysi i Jurka", o niezapomnianej pani Helenie, mamie Marysi, i o wiecznym artystycznym gwarze, który było słychać w tym mieszkaniu. Dużo czasu poświęciła mi pani Wanda Zając, sekretarka w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, która oprowadziła mnie po teatralnych zakamarkach.

Scenariusz książki wielokrotnie ulegał przebudowie. Nawet gdy miałam dokładny plan, który starałam się realizować, w trakcie pisania okazywało się, że jednak ostateczna wersja będzie inna. Przeprowadziłam 270 godzin wywiadów, spisanie ich było zaledwie pierwszym etapem pracy. Aby uzyskać jednolity charakter stylistyczny, wypowiedzi osób występujących w książce zostały zmodyfikowane przez moje pióro, przy zachowaniu ich intencji i indywidualności. Na podstawie wielu rozmów stworzyłam własny obraz, przesuwając „kamerę" z planu na plan i oddając głos kolejnym postaciom. Bohaterowie mojej opowieści zgodzili się z taką formą przekazu. Potwierdzeniem, że to dobry kierunek, była aprobata pisarzy, którzy czytali fragmenty tekstu – Kazimierza Brauna, Kiry Gałczyńskiej i Jarosława Abramowa-Newerlego. Dodało mi to skrzydeł.

Ostatni etap pisania książki to telespotkania z Marią Nowotarską. Umawiałyśmy się na określoną godzinę i szykowałyśmy się jak na wielkie wyjście. Do tego lampka wina lub koniaku, kawa, ciasteczko i… już możemy rozmawiać. Początek rozmowy to szczegółowy opis, jak wyglądamy i co pijemy. Jacek się uśmiechał, gdy wracał z uczelni i mówił: „byłaś" dzisiaj na spotkaniu z panią Marią?

W 2013 roku nastąpiła kolejna zmiana w naszym życiu. Jacek otrzymał pracę na University of Texas at Austin. Z New Jersey przeprowadziliśmy się, jadąc przez dziewięć stanów na koniec świata – do Teksasu. Mieszkamy na przepięknym osiedlu, wśród pagórków, palm kokosowych i kwitnących kaktusów, w Austin – mieście prężnie się rozwijającym, z nowoczesną architekturą, pełnym młodych ludzi i wszechobecnej muzyki. Tylko znów trzeba było od początku budować swój świat i oswajać nową rzeczywistość.

***

Książka powstawała dużo dłużej, niż to przewidziałam, w latach 2005–2013, ale wiele się przez ten czas nauczyłam. Pisałam ją głównie w New Jersey, blisko wielkich, tętniących życiem metropolii – Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, w naszym domu pomiędzy Atlantykiem a Appalachami. Była moją przygodą z teatrem i z cudownymi ludźmi. Przywiązałam się do

niej i żal mi się z nią rozstawać. Ale od teraz musi już radzić sobie sama.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei